

# ODRODZENIE.

(Z HEYSE'GO).

## I

Na południe Tyrolu, w miejscu gdzie jezioro Garda wkracza aż w góry malowniczymi skręty, dumnie wznosi się zamek na urwisku skały, jak orle gniazdo nad pieczarą; położenie jego, w miejscu gdzie dolina skręca się i zwęża, jest tak korzystnem, że garstka odważnych ludzi z kilku działami mogłaby go obronić przeciwko całej armii. Stare mury najeżone wieżycami noszą jeszcze na sobie ślady ran otrzymanych w niejednej walce, której wspomnienie za-tailo się w pamięci mieszkańców. Zapomniano nawet nazwiska rycerskiej rodziny ongi tu zamieszkałej; i gdyby jaki cudzoziemiec przed trzydziestą laty dopytywał się o szczegóły po chatach rozrzuconych w dolinie wśród orzechów i kasztanów, nieby się nie dowiedział o tej tajemniczej siedzibie, chyba tego tylko, że się zwie „*Twierdzą*” i należy do jakiegoś margrabiego, którego nikt nazwiska nie wie.

Lombardia była wtedy, jak wiadomo, prowincją austryacką; mało kto, nawet wśród najgorętszych patriotów przypuszczał, aby to bogate kwiecie tak niebawem oddzieliło się od wieńca Habsburgów. Nie idzie za tem, aby w granicznych okręgach, dwa plemiona miały się godzić z sobą i bratać. Brak gościnności, nieufność, ba, nawet otwarta nienawiść, oto całe przyjęcie jakiego oczekiwać mógł tyrolczyk, jeśli go potrzeba jaka zagnała w doliny jeziora Garda; i nie było roku w którymby tych uroczych miejsc nie zakrwawiło jakie morderstwo, uchodzące najczęściej przed poszukiwaniami sprawiedliwości cesarskiej.

Nie dziwną tedy była milcząca oziębłość dwóch ludzi, którzy w gorącym dniu sierpniowym piełi się razem nienajlepiej utrzymaną drogą, wiodącą do Twierdzy. Jednakże młody człowiek, któremu wieśniak włoski służył za przewodnika, zamienił w Riva swój kapitański mundur na ubranie cywilne i kapelusz skóniany o szerokich skrzydłach. Do tego mówił językiem miejscowym tak biegle, jak gdyby się chrzczył w wodach jeziora. Ale pomimo to wszy-

stko, postawa jego miała coś marsowego, co znamionowało oficera, a odzież jaką przybrał, w oczach towarzysza zdawała się ukrywać jakieś tajemne a niebezpieczne zamiary. Młody tyrolczyk nie zdolał wydobyć z ust milczącego towarzysza więcej szczegółów nad te jakie mu były udzielone w mieście: od lat dwóch, cudzoziemiec, margrabia, mieszkał w Twierdzy z niewielką służącymi; był to wielki mizantrop i nie widywał się z nikim, przyjmował tylko jednego księdza, który co niedziela schodził z klasztoru leżącego na szczycie góry dla odprawienia mszy w kaplicy zamkowej. Droga zaś którą przebywał podróżny, w rzadkich odstępach nawiedzana była tylko przez fury dostarczające żywność do zamku. Oficer dopytywał się o charakter margrabiego, jest-li on dobroczynnym, jak się obchodzi ze sługami, i t. p. Nie mógł się nic dowiedzieć, prócz tego, że nowy właściciel Twierdzy rozdaje wieśniakom zwierzyne ubitą na górze.

Widząc że towarzysz ma stałe postanowienie milczeć, oficer zaprzestał go badać; szedł wzdłuż drogi wybitęj głębokimi koleinami, dumając o prawdopodobnych następstwach swęj wycieczki. Chociaż był bardzo młodym, zbyt często stawiał on czoło niebezpieczeństwu aby mu teraz zbywać miało na mężkiej odwadze; jednakże w miarę jak zbliżał się do celu podróży, nie mógł opędzić się głuchęj niespokojności, przykremu zniecierpliwieniu. Zamek miał pozór groźny i ponury; rzadkie jego okna zasłonięte były gęstemi frankami, jak gdyby mieszkańcy jego chcieli zerwać ze światem zewnętrznym; jego zębate wieżycy, zacienione gęstemi kasztanami, zdawały się ukrywać, aby tém ciszej spoglądać okiem podejrzliwem na to co się dzieje w okolicy; nareszcie, co najwięcej dodawało dziwactwa tęg ponuręj siedzibie, to trzy stateczne cyprysy które rozciągały wokół bramy głównej swe posępne konary i całęmu budynkowi nadawały charakter grobowca.

Kiedy podróżny przebył ostatnie wyboje wodące do Twierdzy, nadszedł już zmierzch i ptaki nocne poczęły już zataczać fantastyczne koła. Oficer rzucił cygaro które już oddawna przestało się palić i zbliżył się do bramy. Ale stukał do nięj długo nim go usłyszano. Drewniana okiennica otwarła się jakoby z żalem i ukazała się w nięj twarz z wyrazem bardzo mało życzliwym. Rysy jeszcze okazywały młodość, ale były straszliwie oszpecone ospą; czy to choroba, czy rana, odjęła tęg twarzy jedno oko, którego jama czerwona, zaogniona, nikła w poławie pod zwojem czarnych włosów. Cierpienie i jakiś głuchy gniew przeciw losowi nadawały tęg fizyognomii coś złowrogiego. Tonem krótkim i ostrym:

— Czego pan żądasz? — zapytał człowiek — zamek ten nie jest gospodą.

— Czy mogę się widzieć z margrabią? — sucho odpowiedział przybyły urażony opryskliwością cerbera.

— Nie — odparł jednooki.

I już miał zaniknąć okiennice, kiedy kilka słów rzuconych przez przewodnika niezrozumiale dla oficera, zmieniły nagle jego



postanowienie. Zapytał o nazwisko młodzieńca, i w dziesięć minut potem ciężkie drzwi zaskrzypiały na zawiasach.

— Pan margrabia przyjmuje pana kapitana—rzekł z miną nastroszoną odźwierny. Ty, zostań za bramą—dodał zwracając się do wieśniaka.

— A tłumoczki? — zapytał wieśniak, który tymczasem złożył walizę na moście zwodzonym.

— Wnieś je na dziedziniec — odparł oficer — potem czekać mnie będziesz u wnijsia do zamku.

Zdziwiło go to że wzbroniono przewodnikowi pójść za nim, ale ten człowiek nie wzbudzał w nim tyle zaufania, aby mógł przy nim rzeczy pozostawić.

Idąc za jednookim który starannie pozaciągał zasuwę, przebył on pusty dziedziniec, na którym kroki jego zbudziły melancholijne echa.

Cień wysokich wieżyc zasłaniał ostatnie promienie dnia; niebo nawet zakrywał szeroki jawor, którego gęste gałęzie tworzyły ciemne sklepienie nad studnią. Mnóstwo ptaków zbudzonych niezwykłym szelestem latało w przerażeniu naokoło tych dwóch ludzi. Doszedłszy do końca dziedzińca oficer spostrzegł stare żelazne sztachety zamykające ogródek, w którym rosły w nieładzie róże i cyprysy; ale furtka dawno snadź nie była otwierana, bo rozłożysta figa rozciągała ramiona pełne owoców wzdłuż sztachet, które się tym sposobem zamieniły na szpaler.

Niskie drzwi prowadziły do wnętrza domu. Przybyły spodziewał się znaleźć wszędzie nieład i zniszczenie, dziwił się widząc schody starannie umiecione; komnaty, jakkolwiek skromnie, ale wygodnie urządzone; szyby lustrzané czyste aż znikwały do połowy pod jedwabnemi firankami świeżych i żywych barw.

Zwracając oczy na jednookiego sługę, spostrzegł że on nosi liberyę strzelecką a rękojęść jego noża wyłożona perłową macicą. Przebyli kilka przedpokojów na pierwszém piętrze, następnie służący otworzył drzwi, i stając z uszanowaniem na progu, dał znak podróżnemu do wnijsia.

Mężczyzna wysokiego wzrostu siedział przy biurku pełném papierów i książek, które stało we framudze okiennej: ostatnie promienie słońca padały jeszcze na nie. Margrabia zwrócił się ku podróżnemu, i lekko schylając się czekał aż przemówi. Ten ruch dozwolił mu wpatrzeć się w jego rysy: czoło wysokie i szerokie, osypane gdzieniegdzie siwiejącami włosami, oznaczało myśl głęboką, wolę niezłomną; oczy piękne i spokojne zdawały się długiemu niewykniem widzieć wszystko a niczego nie wydać. Jakaż dusza ukrywała się pod tą zimną powierzchownością? Była to zagadka na którą reszta twarzy, nieruchoma i nieprzenikniona, żadnego nie rzuciła światła.

— Muszę wytłumaczyć się panu margrabiemu — rzekł młodzieńiec—dlaczego przedstawiam się w tak spóźnionej porze. Służący mój zachorował w Riva, musiałem wziąć obcego przewodnika, co naraziło mnie na stratę kilku godzin. Dowiedziawszy

się że się tu nie dostanę przed nocą, chciałem sobie znaleźć mieszkanie we wsi i odłożyć odwiedziny do jutra; ale wszędzie zastałem twarze tak nieżyczliwe a nieporządek nade wszystko tak odpychający, że chociaż żołnierz, cofnąłem się przed widokiem tak złowrogięj gościnności. Wybrałem się więc...

Margrabia wstał aby mu podać krzesło, następnie wrócił na miejsce przy biurku z oczyma zwróconemi ku podróżnemu.

— Krótko mówiąc — rzekł dalej tenże — nie przychodzę ja tu w sprawie osobistej ale z wyższego rozkazu. Nazywam się Eugeniusz R..., i należę do głównego sztabu feldmarszałka Radeckiego, którego główna kwatera w Weronie, jak panu zapewne wiadomo. Oddawna jest tam zamiar wzniesienia fortecy na tém wybrzeżu jeziora, dla zabezpieczenia przejść ku północy. Równina na której się znajdujemy, łączy wszystkie pożądane ku temu warunki, daje ona mocny punkt oparcia dla ruchów wojskowych. Pan margrabia służyłeś zaszczytnie w wojsku piemonckiem, nie potrzebuję tedy długo prawić dla wykazania mu strategicznej ważności tego zakątka i korzystnej miejscowości pańskiego zamku. Zostałem wezwany przez feldmarszałka do sprawdzenia mapy topograficznej tej okolicy i zapytania się pana czy nie zgodziłbyś się ustąpić własności swój na rzecz rządu. Widzi pan że zmierzam prosto do celu; środki dyplomatyczne obce mi są zgoła, i nie byłbym się podjął téj misyi, gdyby mnie nie upoważniono mówić z panem otwarcie.

Nastała chwila ciszy przerywanéj tylko spokojnym i jednostajnym krokiem skugi przede drzwiami pokoju z zewnątrz.

— Dziękuję za otwartość, panie kapitanie — odpowiedział margrabia—pozwól więc pan i mnie odpowiedzieć bez korowodów. Mam mocne postanowienie nie sprzedąć tego zamku komukolwiek—bądź, dla jakichkolwiek—powodów. Nie znam dotychczas praw austriackich aby wiedzieć czy mnie rząd cesarski wywłaszczyć może, ale oświadczam panu że ustąpię tylko przed przymusem.

Lekki rumieniec okrył twarz oficera.

— Myli się pan margrabia—rzekł wstając—zbyt tu szanowném jest imię pana aby przeciw niemu udawano się do praw wywłaszczenia służących być może Państwu. Powiadam, być może, gdyż stanowczo dekretu pod tym względem nie znam. Gdyby odmowa pańska była nieodwołalną, generał odstąpiłby od tego zamku, ale nie zaniechałby przeto swych strategicznych zamiarów. Ponad pańskim gruntem można znaleźć miejsce odpowiednie dla założenia fortecy. Pan margrabia od kilku lat żyjesz w téj ustroni; bądźież ona miała równy dla pana urok, jeżeli spokój jéj zakłóci wrzawa garnizonu? Wrazie gdyby dojrzały namysł zmienił pańskie postanowienie, mam obowiązek oświadczyć panu że rząd przyjąłby cenę pańską bez rozbioru, sprawiedliwie bowiem jest indemnizować pana za tak nieprzyjemny kłopot.

Zamilkł, ale starał się nadaremnie odkryć na nieruchomej twarzy margrabiego wrażenie, jakie słowa jego wywarły. Ten głosem nieco głuchym, ale zawsze spokojnym, odpowiedział:



— Będę panu wdzięcznym, jeśli mi oszczędzisz wszelkiéj nowéj w tym przedmiocie dyskusyi. Postanawiam sobie pozostać tu, bądź co bądź nastąpi. Wreszcie, jeżeli osobiście mogę oddać panu jaką przysługę...

— Wdzięcznym panu za tę gotowość, panie margrabio i z przyjemnością skorzystam z niéj w położeniu w jakim się znajduję. Dla wykonania otrzymanych rozkazów muszę poznać się z tą górą, zdejmować plany; mówiłem już panu jak przykroby mi było zamieszkać na wsi; tu wiem także iż obecność moja nie jest bardzo pożądaną, ale skoro pan chcesz zapomnieć jaki spekniam obowiązek i widzieć we mnie tylko człowieka, ośmielę się prosić pana o gościnność przez dni kilka. Nie potrzebuję dodawać że pobyt mój nie narazi w niczem zwyczajów domu pańskiego: potrzebuję tylko schronienia na noc i poprzestanę na najmniejszym kąciку w zamku.

W téj chwili wszedł jednooki. Usiłując pod pozorem obojętności ukryć widocznie miotające nim wzruszenie, rzekł do pana:

— Wieśniak co tu przyprowadził pana kapitana, nie chce dłużej czekać. Musi być we wsi przed północą.

Ten poczcziwiec nie ruszył się z przedpokoju pomyślał w duchu tyrolczyk. Chciałby mnie jaknajprędziej widzieć za bramą, a to co nam prawi jest wierutném kłamstwem.

To téż przyjemnie mu było usłyszeć po chwili milczenia odpowiedź margrabiego.

— Odpraw go, Taddeo; pan kapitan zostanie z nami. Zaprowadzisz go do komnaty wieżowej i uścielisz łóżko. Nade wszystko nie daj mu powodu do uskarżania się na ciebie. Proszę pana o pobłażanie, rzekł zwracając się do Eugeniusza: dom mój nie jest urządzony na stopę gościnną, i będzie panu zapewne zbywać na wielu rzeczach. Nie gniewaj się téż pan na mnie jeśli mój obyczaj samotności nie pozwoli mi być gospodarzem jak należy. Rad jestem, wierzaj mi, że mogę uczynić przysługę tak dzielnemu i zacnemu oficerowi, jak pan. Dobranoc, panie kapitanie.

Z temi słowy uklonił się młodzieńcowi, nie przyjmując jednak ręki którą ten chciał mu podawać. Zwracając się następnie do zdumionego sługi, który spoglądał to na pana, to na podróżnego, rzekł doń kilka słów półgłosem: twarz Taddea rozjaśniła się, kaszlnął, mrugnął jedyném okiem, i ruchem przypominającym kota pospieszył otworzyć drzwi. Zaświeciwszy latarkę, bo noc już zupełnie zapadła, poprowadził on oficera do starożytnéj wieży. Drzwi okute żelazem skrzypnęły i wątpliwe światło oświeciło kręcone schody. Eugeniusz cofnął się krokiem, zafajęc prawie że nie próbował szukać gościnności u właścicieli winnic we wsi, których liche lepianki obecnie zdawały mu się pożądanyszemi od tych zimnych i nagich, jakby więziennych murów.

Wrażenie to jednak przemineło, kiedy przybywszy na drugie piętro wszedł do przeznaczonego dla siebie pokoju. Łóżko i sprzę-

ty w stylu Odrodzenia ustawione były w komnacie téj ośmiokątnej oświeconej dwoma oknami; szarawe obicie drewniane okrywało ściany; sufit zamknięty w kopułę wyobrażał lazurowe niebo urozmaicone purpurowemi obłokami, wśród których fruwały ptaki i wzlatywały aniołki pełnemi rękami rozsypując róże. Nic w tém wykwiśnięm ustroniu nie przypominało więzienia.

Młodzieniec zbliżył się do okna zasłoniętego gałęzmi kasztana, pełnemi koleczastego owocu; czysty powiew nocy oświeżył jego twarz i serce napełnił błogością. Taddeo uwijał się z tłumaczkami, zaścierał łóżko, porządkował sprzęty. Eugeniusz godzinę przynajmniej stał w wąskiej framudze, spoglądając przy blasku księżyca na rozkoszną dokoła naturę.

Dopiero postyszawszy zamknięcie drzwi wyszedł z zadumy i zobaczył przygotowania poczynione przez Taddea. Lampa o trzech ogniskach oświecała na stole smaczną wieczerzę. Pościel śnieżnej białości spoczywała na łóżku, waliza stała na krześle, słowem nie zaniedbano nic aby niespodzianemu gościowi pobyt uczynić przyjemnym. Eugeniusz jednak nie mógł nie zdziwić się jakosć postępowaniu gospodarza, który go tak odosobniał w chwili kiedy i sam zapewne zasiąść miał do samotnego stołu. Chociaż wszelka niedyskretna ciekawość, daleką była od jego szczerego i prawego umysłu, i chociaż niczém inném zajęty nie był, jak tylko poważnemi zadaniami swego powołania, przypomniawszy sobie jednak nazwisko margrabiego, którego nagłe zniknięcie roznaicie tłumaczono w towarzystwach. Mało on zazwyczaj zwracał uwagi na plotki próżniacze; opowiadania o przygodach ludzi których nie znał, były mu zgoła obojętnemi, i często, nibyto nadstawiając ucha opowiadającym, w duchu rozwiązywał sobie jakieś trudne zadanie matematyczne. To téż daleko więcej szczegółów wiedział o położeniu topograficzném równiny, niż o właścicielu zamku. W téj chwili jednak, po rozmowie z gospodarzem, poczuł doń jakąś istotną sympatyę; dałby był wiele za to aby być przy nim i serdecznie podziękować mu za przyjęcie jakiego doznał, on który nawet w oczach jego mógł uchodzić za nieprzyjaciela.

Tymczasem ani się spostrzegł jak wypróżnił butelkę, i dzielne wino lombardzkie zaczęło wrzeć mu po żyłach. Upatrywał wody a nie mogąc jęj znaleźć porwał karafkę i chciał zejść z nią na dół do studni. Jakżeż się zdziwił zastawszy ciężkie drzwi od wieży zaryglowane. Stukał, wołał; nikt nie odpowiadał. Byłżeż więźniem? Czyż doznawane względy miały jedynie na celu uspienie jego nieufności? Odpędził rychło to podejrzenie, i wróciwszy do siebie, upewnił się w swém bezpieczeństwie zobaczywszy u drzwi swego pokoju rygiel na wewnątrz. Z tém wszystkiém uznał za rzecz niebezpieczną, starannie obejrzeć miejsce w którym noc miał przepędzić. Nie znalazł zrazu nic podejrzanego, ale razem przyszła mu myśl odsunąć wielki kantorek dębowy. Poza nim spostrzegł drzwiczki, od których klucz znajdował się w zamku,



Eugeniusz zgorączkowaną ręką otworzył je i wszedł do sali długiej a niskiej, do której wiodło kilka schodków kamiennych.

Z sali tej wyjście było tylko do jego pokoju; w murach zupełnie nagich, nie było żadnego otworu, prócz trzech lufcików okrytych kurzem. Obicia były zbutwiałe, a sala oddawna snadź niezamieszкана, wyziewała taką woń zaduszną, że oficer otworzył czémprędzej lufcik, a powietrze raptownie wciskając się do wnętrza zgasiło mu lampę. Z lufcika widać było dziedziniec; Eugeniusz spojrział na jawor osłaniający studnię z której on tak żądał ugasić pragnienie; opodał nieco mały ogródek przy świetle księżycowém rozrzucał swe róże i cyprysy. Wszystkie przedmioty zdawały się przybierać posępną barwę; młodzieniec już miał odchodzić od okienka, kiedy poprzez gałęzie drzew spostrzegł promień światła wychodzący z jednego z pokojów dolnej części zamku. Okienne były szczelnie przymknięte, ale otwór uczyniony w górze dla wpuszczania powietrza dozwalał zapuścić wzrok w głąb pokoju. Na małym stoliku przygotowane było nakrycie do wieczery, obok stało krzesło trzcিনowe; stara kobieta ukazała się z karafką w rękę i z talerzem fig; ukrajała kawałek chleba który położyła w koszyczek, następnie przyniosła dymiącą potrawę i znowu wyszła, jakby dla oznajmienia że wieczerza podana.

Eugeniusz skorzystał z tej chwili aby wydobyć lunetę którą zawsze nosił przy sobie. Zaledwie skierował ją w tę stronę, kiedy służąca weszła ale już nie sama. Młoda kobieta, okryta szarą suknią szła za nią krokiem wolnym i smutnym; jęj obfity włos płowy, rozdzielony na środku głowy, łączył się w tyle w gęsty węzeł, twarz i ręce zadziwiającej czystości linii, odznaczały się białością przezroczystą, świadczącą o zaburzeniach jakie choroba albo też zmartwienie poczyniły w organizmie. Wspomnienie prędkie jak błyskawica, przeszło po umyśle oficera: widział on już raz tę kobietę, ale jakaż głęboka zaszła w niej odmiana! Wtedy świeciła ona całym blaskiem życia, obecnie pogrążyła z cierpieniem; postawa jęj wyrażała ponurą rezygnację bez nadziei; wzrok jęj mdły i zadumany zdawał się oddzielać od przedmiotów ziemskich i spoglądać w inne sfery; nie w jęj fizyognomii nie wskazywało że ona słucha tego co stara opowiadała jęj z towarzyszeniem gestów i ruchów głowy. Usiadła machinalnie do stołu i okiem roztrągnionem spoglądała na służącą, która podawała jęj to rosół, to narodową polentę, o ile wnosić mógł Eugeniusz z oddalonego punktu. Stara zdawała się zapraszać panią do jedzenia, ale po pierwszej łyżce młoda niewiasta odsuwała talerz. Wzięła wreszcie figę z okruszyną chleba, a wzrok jęj utkwiał w płomieniu lampy. Oczy jej napełniły się łzami, przetarła czoło wychudłą ręką i wstała. Naprzeciw niej stał przyparty do muru klęcznik z krucyfiks. Upadła na kolana i długo klęczała zatopiona w modlitwie.

Służąca popatrzyła na nią smutno, potem zaczęła uprzątać. Skończyła, wzięła się do szycia, kiedy pani wstała z obliczem bardziej jeszcze znękanem niż poprzednio. Stara rzekła do niej

kilka słów, wskazując palcem na wieżę. Widocznie oznajmiała jej o przybyciu do zamku gościa, co dla niej zdawało się być ważnym wypadkiem; ale młoda kobieta zaledwie jej słuchała, nie odwróciła głowy i nie wyrzekła ani słowa. Wkrótce potem obie opuściły pokój. Eugeniusz z sercem wzruszonym, daremnie przez całą godzinę oczekiwał powrotu tajemniczych zjawisk, nie widział już nic, i musiał opuścić swe stanowisko.

Księżyc rozlewał takie światło, że nie potrzeba było zapalać lampy. Wrócił do swej komnaty, ale sen nie chciał przystąpić do wzburzonej głowy. Z rozpalonym czołem stał on przed oknem spoglądając w głęboką równinę.

— Tak piękna! tak młoda! dlaczego ona zamknięta w tém smutném więzieniu?—mówił do siebie.

To cofał się do czasu w którym widział ją poraz pierwszy; było to przed czterema laty, u jakiegoś generała francuzkiego, który zimą bawił w Wenecyi i zbierał u siebie na wieczory najcelniejsze towarzystwa włoskie. Miała ona wtedy najwięcej lat siedemnaście i była na balu z matką swą, medyolanką, bardzo poważaną w świecie. Dziewica miała wiele wdzięku, głos tak harmonijny, oczy tak czarne, uśmiechliwe i słodkie, że oficer pomimo swęj zwykłej na płeć piękną obojętności, przez cały wieczor oczu od niej oderwać nie mógł. Raz tylko jednak udało mu się z nią tańczyć; młody hrabia, jej kuzyn, próżny i pełen zadowolenia z siebie, uczeplił się jej na cały wieczór; a i ona wreszcie zdawała się najwięcej cenić towarzystwo swego wykwintnego współrodaka. Eugeniusz mało co z nią mówił, jednak melodyjny szmer jej głosu kilka tygodni jeszcze brzmiał w jego uszach. W kilka dni potem spotkał on tę dziewczę siedzącą w gondoli pomiędzy matką i nieodstępnym kuzynkiem; pokłonił jej się, ale ona oddała mu ukłon z pewnem zdziwieniem, jak gdyby go nie poznała. W następnym tygodniu opuściła Wenecję.

Jakież to wypadki od owego czasu spędziły róże z jej obliza i blasku ujęły oczom? Dlaczego znajdowała się w tém odosobnieniu? Czém był dla niej margrabia? Dlaczego ukrywał ją z tak zazdrosną ściśłością? Byłże on jej mężem, albo téż ulegając szafowi miłości odepchniętej trzyma ją w tym zamku aby złamać jej dumę i przezwyciężyć upór? Ale przypomniał sobie szlachetną postać, pełne godności oblicze gospodarza, i odepchnął myśl tak bezecnej zbrodni.

## II.

Eugeniusz położył się z duszą uciśnioną smutkiem; utrudzenie dzienne sprowadziło mu sen kilkogodzinny, wzburzony, pełen bolesnych marzeń. Kiedy wstał słońce już było wysoko, a u podnóża wieży kobieta jakaś chrapowatym głosem śpiewała coś czego on nie rozumiał. Jednym skokiem rzucił się do okna i spostrzegł starą służącą, która szła z koszykiem stromą ścieżką pod



górze. Spostrzegłszy go, mocniejszym jeszcze tonem powtórzyła swoją jednostajną śpiewkę, w której on odróżnić mógł jeden tylko wyraz „Klasztor.” Potem położyła palec na ustach, na znak roztropności i znikła za skałą.

Eugeniusz mocno zdziwiony oddalił się od okna. Za nim stał Taddeo, którego badawcze oko śledziło wszystkie jego kroki. Udał natychmiast obojętność i zapytał z uszanowaniem, co pan kapitan ma mu do rozkazania. Zauważył jednak Eugeniusz, że mówiąc, słuchał uważnie głosu stariej, który rozbrzmiewał z oddali.

— Pan margrabia prosi o przebaczenie — dodał zabierając ubranie oficera — zmuszony jest wyjść dzisiaj i wieczorem dopiero powróci. Jutro zrana jeżeli pan kapitan zabawi jeszcze, spodziewa się złożyć mu wizytę.

Eugeniusz odpowiedział krótko i z roztargnieniem. Potem zapytał, czy nie ma w zamku innego służącego, bo potrzebował kogoś coby za nim nosił narzędzia miernicze.

— Jest tylko stara kobieta trudniąca się kuchnią — odpowiedział żywo Taddeo — ale ona ma bzika, mogłaby coś zgubić albo złamać. Ja zaś podczas nieobecności pana, dodał zbliżając się do biurka, nie mogę oddalać się z zamku. Gdyby nie to, uważałbym sobie za zaszczyt towarzyszyć panu kapitanowi. Ale są w pobliżu pastuszkowie, którzy chętnie tego się podejmą.

Oficer nie słyszał już ostatnich wyrazów. Główny cel jego pobytu w tej okolicy tak był teraz dalekim od jego myśli, że w pół godziny potem wychodząc z twierdzy dla badania miejscowości, zapomniał wziąć z sobą mapp. Przybywszy na szczyt łańcucha wzgórz okalającego równinę, zatrzymał się i spojrzał na przebytą drogę. Na sto kroków pod nim zamek piętrzył swe szarawe mury; z punktu na którym stał Eugeniusz objąć mógł całość budowli i zapuścić wzrok w mały ogródek, który mimo kwitnących róż, budził ponure myśli jak widok grobu. Żadnej postaci ludzkiej nie było widać w dziedzińcu, a okna wychodzące na górę zasłonięte były gęstemi firankami. Możliwe było że zamek jest niezamieszany, gdyby nie lekki prąd dymu, który wznosił się ponad drzewa, jako jedyny znak życia widniejący w tej siedzibie otoczonej cyprysami.

Uczucie blizkie nienawiści powstało w sercu Eugeniusza przeciwko właścicielowi zamku. Jakżeż byłby rad, gdyby w wypadku wojny, mógł zdobyć tę twierdzę, pokruszyć jej bramy i wydobyć na jaw tajemnicę ukrytą poza jej murami. Zapytałby tę błądzącą ofiarę, co to za człowiek który udręczył jej młodość, i pomściłby się nad ciemiężcą.

Tymczasem stał on tu samotny, bezwładny, nie mógł użyć innej broni jak tylko cierpliwość. Westchnął i odrywając wzrok od doliny, wydobył się na sam wierzch góry, z kąd nieopodal ujrzał dzwonnice skromnego klasztoru wznoszącego się ponad sosnowym gajem. Nie z tego on miejsca potrzebował zdejmować plany, skierował się jednakże pod klasztor, spodziewając się zasięgnąć

tam jakiej wiadomości o mieszkańcach zamku. Przewodnik powiadał mu wczoraj, że co niedziela przybywa mnich do twierdzy dla odprawienia mszy, musiał on zapewne widzieć smutną niewolnicę.

Zaledwie uszedł pół drogi, kiedy nagle postać ludzka wychyliła się doń z poza krzaków. Była to stara służąca, której śpiew obudził go z rana. Dała znak młodzieńcowi aby poszedł za nią, i wtulając głowę w ramiona, ruchem nocnego ptaka wystraszonego światłem, cicho wsunęła się między krzaki i skały dążąc do opuszczonej chaty.

— Przysięgnij mi pan przez Madonnę że mnie nie zdradzisz; zdajesz się dobrym i prawym, ale ja nie powiem słowa, dopóki nie przysięgniesz.

Oficer zgodził się bez wahania.

— Czego żadasz odemnie? jestem gotów uczynić wszystko co się da pogodzić ze czcią żołnierza.

Nie odpowiedziała mu natychmiast. Usiadła na kamieniu w głębi chaty i zdawała się z gorzkim zadowoleniem wylewać swobodnie łzy które zapewne często zmuszoną była ukrywać. Eugeniusz dotknął jej ramienia; ona zadrżała i zdawała się przypominać sobie powód który ją na to miejsce sprowadził.

— Powiedz mi pan nasamprzód, kto jesteś i pociąg przybył do zamku—rzekła oglądając go z nieufnością od stóp do głów, pomimo przysięgi jaką na nim wymogła. Jak on mógł cię wpuścić do twierdzy, w której nikt nie mieszka prócz nas i rozpaczy. Jeżeli jesteś jego przyjacielem, stara Barberina nie ma ci nic do powiedzenia.

On dał wyjaśnienia które zdawały się ją zadawalniać; wydobyla z kieszeni lubianą tabakierkę, zażyła z niej i dodała:

— Czy znasz pan Medyolan?

— Troszkę—odpowiedział Eugeniusz. W mieście tém stałem pierwszy raz załogą i bawiłem cały rok.

— Czy pan tam wrócisz? Trzebaby natychmiast: inaczej może być zapóźno.

— Powiedz mi, w jakim celu. Jeżeli rzecz jest ważna....

— Ważna—zawołała Barberina wznosząc oczy do nieba. Idzie tu niestety o życie lub śmierć! Czy pan słyszał o hrabi Tagliani? Czy znałeś go? Wreszcie mniejsza o to czyś go znał lub nie. Jeżeli jesteś rzeczywiście człowiekiem uczciwym, chrześcianinem, jeżeli się litujesz nad nieszczęściem, pospieszysz odnieść list do hrabiny. Tego tylko od pana żądam: uczyni to a niebo błogosławić cię będzie.

— Daj mi ten list: przed tygodniem będzie doręczonym.

— Tydzień to za długo.—Lampa może przez ten czas zagaśnieć; ale jeżeli tak ma być, Bóg zapewne nie odmówi miłosierdzia.—Masz pan przy sobie papier?

— Na co ci?

— Na list. Ja, biedna, nieuczona kobieta, nie napiszę; zaledwie nauczyłam się czytać. Pani moja nie chciała nigdy napi-



sać ani jednego wiersza; a nawet gdyby wiedziała że rozmawiałam z panem, nie śmiałabym jęć się więcej na oczy pokazać. Przeto też ja po długim wyczekiwaniu postanowiłam wezwać pomocy pańskiej. Jużciżby mnie moje stare nogi zaniosły do Medyolanu, ale panby mnie zabił, tak jak to raz już powiedział. A jednak byłaby ona już wybawioną dotychczas! Ja nie chciałam działać wbrew jęć zakazowi, sądziłam że się roznysli; ale dzisiaj rzeczy stanęły już tak, że dłużej czekać niepodobna.

Jęki stłumiły jęć głos, obląkanie znowu zabłysło w oczach, zdawała się zapominać o obecności Eugeniusza. Ten wyciął z pugilaresu kartkę.

— Co mam pisać?—zapytał.

— A, prawda—zawołała stara, dłonią ocierając oczy. Dobrze, zaczynaj pan: „Kochana pani hrabino.” Wszak mogę ją tak zatytułować nie dodając: *gentilissima* i *illustrissima*. Wszłam w ich dom przy narodzeniu się pierwszego dziecięcia; byłam kiedy młody hrabia umarł; następnie mała Joasia przyszła na świat: „Barberino—rzekła do mnie pani hrabina—nie masz ty mleka dla naszej maleńkiej, ale wien że oddałabyś za nią krew z serca, to też zostaniesz z nami, powierzam ją twoim staraniom.” Niestety! słodki mój Zbawicielu! gdybym była przewidziała co się ma stać, wołałabym była umrzeć w więzieniu, niż wychować dziecię po to aby konało z rozpacz.

— Tłumacz się prędzej—zawołał Eugeniusz niecierpliwie—czas jest drogi.

— Masz pan słuszność; ale czy znasz przysłowie: „Cierpliwość i pieniąż panują światu.” Inne także powiada: „Kto znosi wszystko bez szemrania, jest albo świętym albo osłem.” Piszże pan co ci dyktować będę, bo nie mogę cierpieć i milczeć.

„Osobą która pisze do pani jest wierna Barberina. Chce ona panią zawiadomić że zostałaś niegodnie oszukana przez tego, Boże mu przebac! który postępuje z córką pani jak turek albo poganin. Przrzekł on pani i Bogu najwyższemu, że będzie jęć podporą, że ją na rękach piastować będzie, jak powiada ewangelia, aby na ostry kamień nie ugodziła nogą.”—Napisałeś pan to?—Dobrze. Teraz dalej: „On zaś natomiast głosi, że moja młoda pani zwaryowała, i że on z tego powodu trzyma ją tu, gdzie ona niko go widzieć nie chce, nawet ojca i matki. Ale to jest ohydne kłamstwo: ona ma całą przytomność tak jak i ja, albo jaśnie wielmożna pani, z przeproszeniem mówiąc. Uprowadził ją z miasta i zamknął w cytadeli. Tak to postąpił sobie ten którego nie nazwę po imieniu, bo zagroził że mnie zabije jak psa, jeżeli wydam jego zbrodnię. Ale ja wołałabym stokroć umrzeć niż zamilczeć o tém; serce mi pęka, kiedy pani moja nie chce ani jęć ani pić, nocę spędza bez snu, jak gdyby wkrótce zabierała się do snu podziemnego. Ona nie wytrzyma dłużej w tym stanie: mój biedny anioł umrze albo istotnie rozum straci. Wię o tém dobrze ten co winien wszystkiemu, ale on chce tego a sercu jego niedostępna litość. To też

jeżeli łaskawa i kochana pani chce uratować dziecię swoje...."—Napisałeś pan to? Bo teraz przystępujemy do najtrudniejszej rzeczy; ja sama nie wiem co robić. Jeżeli napiszę, to rodzice pospieszą wyrwać swą córkę; a czy ona da im się uprowadzić? Bo trzeba ci wiedzieć, panie kapitanie, że ona o niczem nie mówi, tylko o pokucie i o śmierci; utrzymuje że nigdy już nie ujrzy świata i że dla niej nie ma już szczęścia na ziemi. Ach! udało się temu okrutnikowi! Zmartwienie czarne jak grób, pożera ją z wolna; lepijby zaraz nóż zatopił w jej sercu, zamiast piec ją tak na wolnym ogniu."

Skrzyżowała ręce na piersiach i zaczęła płakać. Eugeniusz usłyszał zdala stado zbliżające się do chaty; były to kozy, za którymi spiesznymi krokami pędził pastuch; chwilę ukazał się na progu i natychmiast oddalił się z rozigranymi stworzeniami. Oficer ukryty w cieniu nie wiedział czy go pastuch dostrzegł, ale starą musiał zobaczyć.

— Opowiedz mi wszystko Barberino, mów prędko—zawołał—mógłby nam tu kto przeszkodzić, i już nie zdołałbym ci nic dopomódz. Co zaszło między margrabią i twoją panią? Zdaje się niepodobieństwem takie barbarzyństwo, aby mężczyzna mógł grzebać za życia kobietę młodą i piękną, jeżeli ona jest niewinna i przy zdrowych zmysłach.

Stara patrzyła nań i zdawała się wahać z odpowiedzią. Wreszcie, znowu zaczerpując suchymi palcami szczyptę tabaki, odezwała się, podchodząc ku drzwiom dla przekonania się czy czasem pastuch nie wrócił:

— Niewinna! A któż to jest niewinnym, kochany panie? Sprawiedliwy grzeszy siedem razy na dzień, a kara idzie za każdym fałszywym krokiem, i nikt jej nie uniknie. Czyż podobna aby dziewczyna siedemnastoletnia, zmuszona zaślubić niekochanego człowieka, mogła stłumić odrazu bicie serca? Dodaj pan, że to biedne dziecko już przedtem swoje oddało. Zda mi się że ją jeszcze słyszę: „Barberino, jeżeli będę musiała wyjść za margrabię, pomnij, że ztąd wyniknie nieszczęście!” Ponieważ znałam ją i wiedziałam że nic woli ojca jej nie zmieni, postanowiłam odejść aby nie widzieć tego smutnego zamęścia. „Moja ty jedyna ukochana—rzekłam do niej—stara Barberina nie ma odwagi być świadkiem twego nieszczęścia. Wróć do miasta gdzie się urodziła; i tam modlić się będę za ciebie dzień i noc.” Tak powiedziałam i nie dałam się zatrzymać, bo ślub był już bliski. Kuzyn, którego moja biedna Joasia kochała od dzieciństwa, był porucznikiem w marynarce; nie mógł on przybyć do Medyolanu; stary hrabia nie pozwoliłby mi być ust otworzyć za biednym chłopcem; sama nawet hrabina trzymała za margrabią z powodu jego tytułu i majątku; był to zresztą człowiek uczciwy, szanowany i zasługujący na szacunek. Ale czyż to tego wymaga siedemnastoletnie serce? „Pierwsza miłość najlepsza”, powiada przysłowie. Odpowiedziałam więc i mieszkałam rok cały w moim miasteczku, żyjąc



jak gdyby nie było na świecie hrabianki Joanny. Ale czułam po smutku mojego serca, że rzeczy szły nie dobrze.

„Sądź pan jak byłam zatrwożoną, odebrawszy raz list, którym zażądano abym natychmiast udała się do willi margrabiego, bo moja pani mnie potrzebuje. Zrazu przejęła mnie słodka nadzieja: — Gdybyż ona została matką — pomyślałam — jej zameście wypadło może lepij niż się spodziewałam. Ale nie Joanna napisała list, on go pisał, i obawa moja wróciła. Przybyłam nazajutrz pod noc. Na przyjęcie mnie wyszedł Taddeo, a wtedy oko jego było zawiązane, wreszcie brzydkim był tak jak i dziś. Nie dawszy mi się nawet otrząsnąć z kurzu, zaprowadził mnie nie do pani, ale do pokoju margrabiego. Widziałam go tylko dwa razy, uważałam jednak wielką zmianę w jego twarzy, i co pewna, to nie było tam widać żadnej radości ojcowskiej.

— Barberino — rzekł do mnie — posłałem po ciebie, chcąc abyś była przy pani margrabinie; ona jest chora, przynajmniej na duszy, a wiem że ty jesteś dla niej z poświęceniem.

— Wielki Boże! co pan mówisz panie margrabio? zawołałam. Moja Joasia chora? Ona co była tak wesołą i śmiechem cały dom napelniała!

Westchnął tak głęboko że litość mnie zdjęła. Opowiedział mi potem, że złodziej zakradł się nocą do pokoju margrabiny, że on i Taddeo puścili się za nim, i że ztąd wyniknęła walka w której służący stracił oko. Wzruszenie i przestrah tak głęboki wpływ wywarły na moję młodą panię, że ona od tego czasu nie chce się z nikim widzieć i pragnie schronić się w miejsce bezpieczniejsze niż willa. Przyszedł mu więc na myśl jego zamek nad jeziorem Garda; postanowił zaraz nazajutrz rano wyjechać tam i pozostać w nim dopóki młoda pani się nie uspokoi.

Mówił to do mnie tak smutnym tonem, ale zarazem tak pewnym i stanowczym, że najmniejsze powątpiewanie przez myśl mi nie przeszło. Pożegnał mnie znakiem i dał rozkaz służącemu aby mnie zaprowadził do pani. W jakim ja stanie zastałam tego biednego anioła! Była nie do poznania. Widzę ją jeszcze, blada i niema, siedząca w krześle; ani łzy w oczach, ani słowa na ustach. Serce mi się ścisnęło, bo dobrze powiadają: „kto złe zamyka w sobie, nie wyzdrowieje”. Czy uwierzysz pan, że ona nie odwróciła nawet głowy aby spojrzeć na mnie? Na moje wszystkie objawy uczucia nie odpowiadała nic; nareszcie dała mi rozkaz abym ją zostawiła samą. Matko Boska! jak mi to przeszło serce! Nazajutrz wyjechaliśmy; margrabina i ja siedziałyśmy w powozie; Taddeo powoził; obok niego kucharka Martina, którą wszyscy uważają za prostoduszną dla tego że nie gada, ale mimo to słyszy ona jak trawa rośnie. Margrabia jechał obok nas konno. Tak podróżując dzień i noc przybyliśmy do téj przebrzydłej nory; powóz przejechał po moście, a mnie zdawało się słyszeć łoskot garści ziemi spadających na trumnę. Pani moja zdawała się nie czuć na wszystko co ją otaczało. Wszedłszy do swego pokoju

rzuciła się na kanapę jak nieżywa. Z mężem nie przemówili ani słowa. Zaledwie drzwi się za nimi zamknęły, margrabia znowu odjechał wierzchem, zostawiając nas samych z obrzydłym Taddejem, który stał się naszym panem i dozorcą.

Jakem się lepiej nad tém zastanowiła, wszystko to, zgadujesz pan, wydało mi się niejasném. Zapytywałam Taddea: wychodzi to na to coby pytać ten mur. Szczęśliwiej nie powiodło mi się i z panią; ale wieczorem, kiedym poszła do Martyny, bo margrabina znów mnie od siebie oddaliła, dowiedziałam się prawdy. Ja mogę rozumieć Martinę, choć ona okropnie się jąka i długo wystowić się nie może. Cóż to za złodziej tak wystraszył moją panię? Nikt inny, przebóg, tylko Gino, a mniemany strach podobny był do radości jak kropla wody do drugiej. Trzeba panu wiedzieć że Joanna gościła w Medyolanie; ukrywała jak mogła swój smutek, ale zachorowała i trzeba było wywieźć ją na wieś. Co robić panie kapitanie? Człowiek ma raz tylko w życiu siedemnaście lat i pierwsza miłość jest jedyną w życiu. Tydzień tak upłynął w willii. Raz wieczorem Martyna zobaczyła wchodzącego do kuchni wieśniaka z listem. Kładzie on palec na ustach, a widząc że jest sama, wsuwa bilecik w kieszeń od jej fartucha i znika. Martyna patrzy na adres: było tam imię margrabiny; zaniósła więc jej list. Czytając go zaczęła winić się biedaczka; napisała pospiesznie kilka wierszy i kazała Martynie oddać je wieśniakowi, jak przyjdzie. Przyszedł dopiero po dwóch dniach; zapewne obawiał się Taddeja. Lepiej byłby nie wracał, bo nie ma w piekle tak chytrego szatana jak ten łajdak jednooki, a wtedy miał jeszcze dwa ślepie.

Cóż mam ci ukrywać, panie kapitanie? Wieczorem Gino wszedł do willi; myślał że nikt go nie widzi, ale już rzecz była wiadomą. Zaledwie parę słów przemówił do swej ukochanej, kiedy drzwi odwaliły się z traskiem. Margrabia, uprzedzony przez Taddeja, przeszedł koło Martyny jak anioł mściciel uzbrojony piórunem; a to tak że szpada jego wyrzucała płomienie. Sądziła Martyna że on chce zabić panię, pospieszyła też żeby ją ratować. Mój Boże! cóż to biedne stworzenie mogło przeciw szalonemu! Margrabia stał nieruchomy na środku pokoju, starał się powstrzymać, ale burza wewnętrzna tak była gwałtowną, że ostrze szpady drgało mu w ręce jak płomień poruszany wiatrem. Milczał i żona jego także. Upadła na krzesło stojące przy łóżku. Nie znać było na niej przestrachu, istny trup który nie ma się czego obawiać na świecie. Martyna widziała to wszystko, bo nikt nie usłyszał jej wejścia, i stała ukryta za szafą.

Nagle zewnątrz zrobił się wielki hałas. Okno było otwarte, dochodził głos Taddeja. „Na pomoc, krzyczał on, zbójca! zbójca!” Margrabia zbliżył się do żony i podniósł szpadę; ale ona odwróciła oczy ku niemu, jakby chciała mówić: Uderz, jeżeli masz serce po temu! Nie mógł wytrzymać tego spojrzenia. Oparł szpadę o podłogę, złamał i kawałki rzucił daleko od siebie. W tej chwili



wszedł Taddeo, krew broczyła mu po twarzy, a w rękę trzymał, okropność! oko, które uciekający gach wydarł mu z głowy szamocząc się z nim. Ukazał margrabiemu zegarek z łańcuszkiem. „Oto wszystko, jasnie panie, co mogłem uchwycić. Umknął mi, niegodziwy morderca.” Wyszedł natychmiast, a jego okrzyki boleści rozlegały się po całym domu. Dobra Martyna pobiegła obwiązać mu ranę, ale on miał ją za zbyt głupią do téj sprawy. Piełnił się ze złości i wykrzykiwał przekleństwa. Nikt nie spał w willi; a co państwo mówili między sobą Bóg tylko wie. Martyna słyszała jak margrabia wszedł do swego pokoju i zamknął się w nim, pani uczyniła toż samo. Nie otworzyła Martynie, która poszła jęj posłużyć; ale światło paliło się u nięj przez całą noc.

Nazajutrz margrabia powiedział Martynie że złodziej zakradł się do domu. i kazał jęj zanieść do sąsiedniego miasteczka, gdzie stał oddział żandarmeryi, oświadczenie piśmienne. Potęm wysłał Taddeja, z twarzą jeszcze zakrwawioną, do najbliższego felczera. Rana zagoiła się prędko, ale żaden lekarz na świecie nie mógł mu wrócić oka, i dlatego on taki zły na moją panię. Teraz już wiedziałam wszystko. Bardzo wczesnie zrana udałam się do pani, chociaż nie wołana. Wstała już, a widziałam po jęj oczach że nie spała. Powiedziałam jęj że wiem o wszystkiém, ale że ona nie powinna tak się smucić, biędne dziecko; że to nie jest tak wielkim grzechem pomówić chwilę z kuzynem, i że ja, gdyby mnie zmuszono pójść za starca, postąpiłabym jeszcze gorzej. „Niezawodnie, dodałam, gdyby pan Gino wiedział gdzie się pani znajdujesz, to ani piekło ani niebo nie odwdokłoby go od wybawienia cię, choćby miał on na cztery rogi zapalić „Twierdzę,” albo otworzyć sobie drogę między skałami.” Ale jeżeli pan sądzisz że mowa moja uspokoiła ją nieco, mylisz się srodze; mówiłam jak do głuchęj. Nareszcie w ciągu rozmowy powiedziałam jęj że margrabia opuścił zamek.

— Gdzie on się udał?—zawołała raptownie. A gdy nie umiałam jęj odpowiedzieć, ona zaczęła drzeć całą. „On pójdzie za nim, mówiła, nie spocznie dopóki go nie znajdzie, a wtedy już po nim.” „Albo po twoim tyranie, rzekłam by ją uspokoić; w takim razie byłabyś wolną.” Nie słyszała mnie; aż do powrotu margrabięgo była wzburzoną jak dusza potępiona. Przywiózł jęj listy od rodziców, które uspokoiły ją nieco. Listy te mówiły że on cały czas przepędził w mieście dla urządzenia swych interesów, i że podał się do dymissy dla tego aby całkowicie poświęcić się staraniom jakich wymagało zdrowie żony. Pani hrabina zalecała córce aby odpędziła czarne myśli, zapewniała ją o swém przywiązaniu, smuciła się że dla nieprzełamanych przeszkód nie może przybyć do zamku by ją odwiedzić. To znów opisywała jęj nowiny miejskie, między innemi, że kuzyn jęj Gino wypłynął z Genui z flotą do Afryki. Było to największą pociechą. Stał poza pociskami zemsty margrabięgo. Dała mi list do przeczytania, nie nie mówiąc, bo usta otwierała tylko do modlitwy. Ach, panie

kapitanie, tygrys patrząc na nią płakałby krwawemi łzami, ale ten potwór, jój mąż...”

— Czy margrabia żyje w zupełném odosobnieniu od żony — zapytał Eugeniusz — który z wzrastającym zajęciem słuchał opowiadania mamki.

— Nigdy nic do niej nie mówi — odparła Barberina — i spotyka się z nią tylko w niedzielę w kaplicy, gdzie przychodzą oboje wysłuchać mszy. Kłęką obok niej, ale na nią nie patrzy; wychodząc, kłania się jój w milczeniu i wraca do swego pokoju. Wreszcie nie odmawia jój niczego; posyła jój książki, robótki niewieście, a ja otrzymałam rozkaz wybierać na jój posiłek najwykwintniejsze rzeczy. Ale pan wiesz: „Lepszy chleb czarny z radością w sercu, niż kapłon ze zmartwieniem, i pół łuta swobody więcej warte niż dziesięć funtów złota;” tak ja przynajmniej sądzę. Totóż posiadawszy kilka miesięcy w tém straszném więzieniu, widząc że dnie maleją a zima nadciąga, uzbroiłam się w odwagę oburącz. Poszłam do pana, powiedziałam mu że rzeczy tak nie mogą iść dalej, że pani długo w ten sposób żyć nie może, że to wstyd skazywać na cierpienie tę biedną istotę, i że jeśli on tą drogą myśli zyskać jój miłość, to stoi od niej o dwieście mil, bo psa nawet łaćtwiej przywiązać pieszczotą niż łańcuchem. Wiem ja dobrze, dodałam, że ona nie tyle jest waryatką ile o tém mówią; pan dla innych powodów trzymasz ją w tym zamku, ale nicby nie było dziwnego gdyby w końcu istotnie zwaryowała.” Nie pojmuję dzisiaj jakem mogła zdobyć się na tyle odwagi; on popuszczał mi cugli i jakoś słowo szło za słowem. Kiedy skończyłam, on odpowiedział mi głosem tak spokojnym, jak gdyby mi mówił dzień dobry: Zwracam twoją uwagę, Barberino, że ja w moim gabinecie mam zawsze nabitą broń; zalecam ci więc abyś o tém wszystkiém nie mówiła nigdy ani do mnie ani do innych, inaczej zmuszony byłbym zabić cię jak psa. Teraz odejdz i powtórz Martynie to co usłyszałaś odemnie, w razie jeżeli to ona ci te myśli wbiła w głowę.” Matko Boska! jakem ja się wylękała! Nie wiem jakem trafiła do drzwi, taki on był okropny. Odtąd nie miałam już nigdy odwagi rozpocząć z nim o tém nanowo. Przeszło jeszcze sześć miesięcy. Jednego dnia pani otrzymała list od matki; nie pokazała mi, ale czytałam go ukradkiem. Stało w nim że jój kuzynek pojechał do Paryża, miał tam pojedynek z oficerem o to że obaj ubiegali się o jedną tancerkę, że otrzymał kulę w piersi i umarł na placu. Hrabina pisała to, nie spodziewając się wrażenia jakie ta wiadomość wywrze na córkę. List przybył w piątek; pani dostała gorączki która trwała aż do niedzieli. Radziłam jój aby nie chodziła do kaplicy, ale nie było z nią rady. Poszła. Po mszy, kiedy przed wyjściem spotkali się z margrabią, zaczęła do niego coś szeptać tak cicho żem nic nie słyszała.

On słuchał jój zrazu w milczeniu, potem, wyjmując z kieszeni zegarek, ten sam który mu oddał Taddeo: „Wciąż pokazuje północ, pani margrabino”, rzekł. To mówiąc kłania się jój z usza-



nowaniem i wychodzi tak prędko, że ja zaledwem zdołała wpaść i schwycić w objęcia panię, która traciła przytomność.

— Cóż pan na to — panie kapitanie? Czyż ona nie zasługiwała na pobłażanie? Taka młoda! Przytém oddała serce Ginowi od chwili jak przestała zajmować się lalką. Zresztą czyż nie dość miała kary w tém, że kuzynek poświęcił i ją i siebie dla tancerki.

Stara pociągnęła gwałtownie szczyptę tabaki, i zdawała się oczekiwać by Eugeniusz wybuchnął przekleństwem przeciw margrabiemu; ale on stał zamyślony, zapuszczając w ziemię koniec kostura.

— A odtąd? — zapytał.

— Odtąd żyjemy jak gdybyśmy niebu ukradli słońce, księżyc i gwiazdy. Tak, kochany panie, jak kto przechadza się po górach i zobaczy z dala Cytadelę pośród drzew, może mu się to wydać ładnem. Nieraz cudzoziemcy siadali na moście i rysowali zamek. Ale niejeden piękny orzeszek ma czarne jąderko, stoczone przez robaki. Nikt nie myśli, że my nudzimy się w zamku, że zmartwienie nas toczy. Po dniu w którym margrabia pokazał jęć zegarek, pani przez kilka tygodni miała kilka razy gorączkę. Brat Ambroży, znający się na chorobach, przychodził codzień macać jęć puls, a potem szedł do pana ze sprawozdaniem. Margrabia ma kamienne serce, nieprawdaż? Jednakże raz, kiedy weszłam do jego pokoju niespodzianie, widziałam że miał łzy w oczach. W chwilę potem, ponieważ pani miała się lepij, poradziłam jęć aby raz jeszcze spróbowała szczęścia. Posłała mnie do niego aby mu podziękować za troskliwe względem nięć starania i zapytać czy zechce ją przyjąć. Spojrzał na mnie górnio i zimno i odpowiedział, że nie może z nią się widzieć, bo zajęty jest bardzo pilnemi interesami. Co pan na to powiesz, panie kapitanie? Zaledwie wydarto ją śmierci. Oh! niegodziwiec, karaib! Przyjęła to bez skargi, bez westchnienia; była wciąż coraz bardziej niemą i zrezygnowaną, jak człowiek żyjący dlatego tylko aby umrzeć. Nawet z Taddejem, który jest na nią zawzięty, ona obchodzi się najłagodnięć. Mówiła mi nie dawno że oczy jęć już nie mogą znieść słonecznego światła. Wierzę; ona tak płacze, kiedy jest samą. Teraz, siaduje po nocach a w dzień spoczywa; daremnie mówię że mrok nocny jęć szkodzi, wbija jęć głębięć w serce zgryzotę, ona nie słucha mnie, i żyjemy jak nietoperze. Pan zdaje się wcale o nas nie dbać; na mszy jest jednakim: wciąż nosi przy sobie zegarek, znaczny po łańcuszku, tak że ona nie ma serca przemówić do niego. Biedna dusza! O czém ona myśli? O tém tylko aby czempredzjęć zstąpić do grobu, i prawdziwe to przysłowie: „kto straci pieniądze, straci dużo; ale kto postradał nadzieję, stracił wszystko”. Na miłosierdzie Boskie! kochany panie, jeżeli coś nie przyjdzie jęć na pomoc, życie wyschnie w nięć tak jak nasz strumyk podczas wielkich upałów. Zgryzota wysusza krew w jęć żyłach, i któregokolwiek dnia, będę musiała pójść do pana i powiedzieć mu: „Powiodło się panu: nasz biedny anioł jest już w świe-

cie, na którym łaskawy Zbawiciel odpuszcza grzesznikom. A teraz zabij mnie pan, jakoś mi zagroził, bo jak nie, to ja pójdę do Medyolanu i krzyżeć będę po wszystkich ulicach że jesteś zabójcą! To mówiąc stara zaczęła szlochać.

— Uspokój się, dobra Barberino—rzekł oficer—jeszcze daleko do tego; wszystko co można zrobić dla zapobieżenia takiemu nieszczęściu, zrobię, przyrzekam ci, tak jak gdyby pani twoja była moją rodzoną siostrą. Ale na co się przyda nosić ten list do Medyolanu? Boję się aby to niepogorszyło sprawy zamiast jej poprawić. Według wszelkiego podobieństwa, pani margrabina nie myśli bynajmniej szukać pomocy u swych rodziców. Rzecz to bardzo drażliwa mieszać się w sprawy rodzinne; musiałbym tedy koniecznie widzieć się z twoją panią, aby upewnić się o jej przyzwoleniu. **Mogłabyś** otworzyć tej nocy furtkę ogrodową; ja z mojej strony **postarałbym** się aby nie zamykano bramy od wieży.

— Co pan **myślisz?**—zawołała stara z przerażeniem. Nie wiesz jak nas **strzegą**. Nie wyjdziemy na chwilę na przechadzkę, by nas Taddeo nie szpiegował. Obawia się abyśmy nie uciekły przez mur ogrodowy, jak koty; a co by się z nim stało gdyby nie miał kogo dręczyć? Pani wreszcie nie zechciałaby widzieć się z panem.

— Możesz jej powiedzieć, Barberino, że jeden z przyjaciół chciałby przed odjazdem do Medyolanu zapytać się jej czy nie ma jakiego zlecenia do matki. Trzeba ci wiedzieć że ja nie jestem obcym twojej pani; tańczyłem z nią w Wenecyi, kiedy była jeszcze piękną, śmiejącą się panienką.

— Czy podobna?—rzekła stara patrząc na niego ze zdziwieniem i radością. Tak, to prawda, nie wątpię o tém; niepodobna kłamać z obliczem tak pocziwém i piękném jak twoje, kapi-tanie. Tak, ciebie niebo zsyła by nas wybawić, jestem teraz tego pewną. Jeżeli więc pan uważasz to za nieodzowne, dopomogę jak będę umiała. Wychodząc z zamku powiedziałam że idę do klasztoru po proszek usypiający dla pani, która od trzech dni nie zamknęła oka; był to tylko pretext dla zobaczenia się z panem; moja pani prawie że nie używa tego lekarstwa, i mamy go jeszcze aż nadto. Otóż wsypię to wszystko w butelkę winą którą Martyna co wieczór przynosi z piwnicy dla tego zbrojcy Taddeja. Jesteśmy zmuszeni przejść przez jego pokój aby dostać się do ogrodu, bo furtka nie otwiera się nigdy. Jak zaśnie, pójdę pani otworzyć i urządzę rzecz tak, aby panią wyprowadzić na przechadzkę; Pan Bóg dokona reszty. Jak pan ją zobaczysz, to cię taka zdejmie litość, że dałbyś sobie prawą rękę uciąć aby ją uratować.

— O której godzinie mi otworzysz?—zapytał.

— Nie mogę panu jeszcze powiedzieć; pani może będzie spała. W każdym razie pójdę po wodę do studni i będę śpiewać; zważaj pan dobrze na wyrazy, one wskażą ci godzinę. Teraz niech Matka Pocienia błogosławi cię, dobry panie! Zostań tu póki się dobrze nie oddalę, bo gdyby ten szatan Taddeo zwałchał najmniej-



szą rzecz, to gotów nie tknąć kropli wina, aby lepiej wytrzeszczać swoje niegodziwe oko. Ja pójdę do klasztoru, bo w niedzielę on nie zaniedba zapytać się czy mnie widziano. Bądź zdrow, panie kapitanie, niech cię niebo błogostawi tysiąckroć!

Podniosła koszyk, ścisnęła około siebie fałdy okrywki i wyszła chyłkiem z chaty, patrząc wciąż naokoło siebie czy jęj kto nie szpieguje.

### III.

Upał był doskwierający; promienie słoneczne padając na skalisty grunt, tak go rozpałały, że Eugeniusz spuścił się czém-prędzej ku dolinie poszukać trochę cieniu i świeżości. Ażeby nie wyrzucać sobie że całkiem zaniedbał missyi urzędowej, poszedł z biegiem wyschłego strumyka w kierunku północnym, przeskakując ze skały na skałę, notując rozmaite przypadłości gruntu; mimo to praca nie uspokoiła jego wzburzonych myśli. W kilka godzin potem zatrzymał się w zrujnowanym domku, którego pozór wskazywał że musiał służyć za schronienie raczej przemytnikom niż porządnym podróżnym. Kobięta w łachmanach przyniosła mu chleba z kukurydzy, kawałek sera i jakiejś obrzydliwej lury. Posiliwszy się, zapuścił się w gęstwinę, idąc gdzie oczy poniosą, wpatrując się zadumaném okiem w wężykowe kłęby dymu od cygara. Znużony nareszcie położył się pod drzewem i usnął. Ostatnie promienie słońca, przed zniknięciem oświecające dolinę, zbudziły go ze snu. Z trudnością zrazu przypomniał sobie wypadki dnia tak pełnego wzruszeń; wkrótce przysłała mu na myśl obietnica jaką uczynił Barberinie i pospieszył czém-prędzej ku zamkowi.

Noc zapadła zupełnie kiedy przybył. W kwadrans potem wracał margrabia z pełną torbą myśliwską i szedł do mieszkania a za nim Taddeo. Ten odebrawszy od pana torbę, rzekł tonem szorstkim który mu był zwyczajnym:

— Oficer odsunął wczoraj wieczór kantorek, poszedł do obocznej sali, bo okienko środkowe pozostało otwarte, a na podłodze widziałem krople oleju.

— O co ci chodzi?— odpowiedział margrabia temperując pióro.

Taddeo kaszlnął lekko.

— Bo to ztamtąd widzieć można aż do mieszkania pani. Jeżeli pan margrabia mniema że to nic nie szkodzi, mniejsza o to. Nikt się nie pytał mojego zdania, czy należy dać gościny temu cwancygierowi, i być może iż mu wszystko wolno, nawet przez dwie godziny gadać z Barberiną na górze....

— Kto powiada?—kto widział?

— Dominik, pastuch. Stara i oficer schronili się do chaty, a on popędził w tę stronę owce, i opowiedział mi wszystko.

— Po co wychodziła Barberina?

— Po opium do brata Ambrożego; widać że pani go potrzebuje, a i inni będą zeń mogli korzystać.

Była chwila milczenia. Margrabia rzucił się w tył fotelu, odsunął pióro i zamknął oczy. Taddeo umiejąc czytać w fizyognomii swego pana, zadowolonym był z efektu jaki sprawiły jego słowa.

— Dodać winienem—rzekł składając do szafy przyrządy myśliwskie—że pan kapitan zabronił mi zamykać bramy od wieży. Mówiłem mu że taki tu jest zwyczaj, odpowiedział że lubi pić wodę świeżą, i że gdyby potrzebował w nocy napełnić karafkę w dziedzińcu, nie chciałby być jak więzień zamknięty na rygle. Co mi pan margrabia ma do rozkazania?

Margrabia wstał. Z rękami złożonemi na piersiach, z okiem ponurém, chodził wielkimi krokami po komnacie. Potém zbliżył się do okna i patrzył na dolinę okrytą mrokiem.

— Rób jak chcesz—rzekł nareszcie do Taddeja, który zdawał się bardzo zajęty czyszczeniem chustką lufy od fuzyi. Myślę, że patrząc na rzeczy zanadto zbliżka, zaczynasz źle o nich sądzić, ale polegam na twojej wierności. Uczyni czego żąda kapitan, i staraj się być głuchym i niemym, to sposób najlepszy aby wszystko widzieć i słyszeć. Teraz odejdz, powiedz gościowi, że znużony polowaniem położyłem się do łóżka, ale że jutro spodziewam się go odwiedzić.

Taddeo wyszedł. Zaledwie stąpił za próg, wrócił znowu na palcach, zostawiając za sobą drzwi otwarte.

— Czy słyszysz pan?—szepnął.

Głos kobiecy drżący i jednostajny odzywał się w dziedzińcu.

— Co to jest?—zapytał margrabia. To Barberina śpiewa?

— A co ona wyraża?—wtrącił jednooki.

— Nie mogę zrozumieć ani jednego słowa—odrzekł margrabia—chwilę nadstawiwszy ucha. Co mi tam wreszcie do jej starej pieśni? Odejdz, chcę być sam.

— Oto jest zwrotka—odparł Taddeo zamykając oko, jak-gdyby tym sposobem zaostrzał zmysł słuchu; słuchaj pan, słuchaj.

Pod domkiem naszym, w ogrodzie,

O nocnym chłodzie, o chłodzie,

Coś syczy wciąż, coś syczy wciąż:

Tam pełza chyłkiem czarny wąż,

Czarny wąż!

— Aha!—zawołał margrabia—teraz usłyszałem. To zwrotka z ballady *Donna Lombarda*, którą śpiewają wszyscy nasi wieśniacy.

— Zaczekaj pan. Czy pan przypominasz sobie następujące potem wyrazy? Idą one tak, jeśli się nie mylę:

On ma jeden tylko ślep,

Skrusz mu łeb!

W mózdzierzu skrusz mu łeb!



— O! słyszy pan? ta przekłeta czarownica właśnie to nuci—  
rzekł dalej jednooki. Słuchajmy końca.

W téj saméj chwili głos brzmiał na inną nutę:

Jak miesiąc wstanie  
Czekam cię, panie!  
Spuść się ze skał,  
Waż będzie spał.

— Tego nie ma w pieśni—jęknął Taddeo - ta wiedźma improwizuje!”

Pan i sługa spojrzeli po sobie, a przenikliwe oko Taddeja dostrzegło, że margrabia drżał z wściekłości. Zrobił poruszenie jakgdyby chciał rzucić się na śpiewaczkę, ale wkrótce zapanował nad sobą.—Idź—rzekł głosem spokojnym—pamiętaj co ci powiedziałem.

Po odejściu Taddeja margrabia rzucił się na krzesło i twarz zakrył rękami.

Księżyc późno wszedł téj nocy. Eugeniusz stał długo przy oknie czekając na blade jego światło. Kiedy pierwsze jego promienie oświeciły szczyt wzgórza, nie mógł oprzeć się jakiemuś przerażeniu. Walczyło w nim tysiąc rozmaitych uczuć: to przejęty żywym żalem nad biedną Joanną, chciałby przyspieszyć chwilę widzenia się z nią; to znów przypominał sobie smutne i surowe oblicze margrabi i wołałby był nigdy za próg domu jego nie stąpić. Udał się znów do téj pustej sali, której okna wychodziły na dziedziniec. Głęboka ciemność zalegała wszędzie. Dumał o ponurym dramacie ukrywającym się w tym zamku, o téj roli jaką miał w nim odegrać, i serce bić mu zaczęło gwałtownie. Nadeszła godzina oznaczona przez Barberinę, zszedł omackiem po schodach wieżycy ze szklanką dla nabrania wody, aby upozorować wyjście w razie spotkania się z jednookim. Ale nie widział nikogo w dziedzińcu, a wietrzyk nocny poruszający liśćmi jaworu był jedynym szmerem jaki uszu jego dobiegł. Światło księżyca rozlewało się po ogródku, i zarysowując ciemne kontury cyprysów, odbijając się o gładkie liście fig, nadawało fantastyczny pozór białawej ścianie nastroszonej srebrzącemi się zębami.

Wtém otwały się drzwi i postać ludzka skierowała się ku niemu. Była to Barberina, która rzekła doń cichym głosem:—  
Proszę!

Poszedł za nią, idąc ostrożnie aby stłumić odgłos kroków na podwórzowym bruku. Mamka mówiła dalej:

— Wszystko idzie dobrze. Szczęściem Taddeo spragniony był jak gąbka. Teraz leży w łóżku i chrapie tak, że mógłby koło niego przejść cały pułk z muzyką, na czele, a nie obudziłby się. Możemy więc przejść przez jego pokój, nie obawiając się niczego. Patrz pan.

I wprowadziła swego towarzysza do szczupłej komnaty, oświeconej małym okienkiem, które przepuszczało kilka promieni księżycowych. Na niskim tapczanie spoczywał człowiek, który snadź zaskoczony snem, nie zdążył się nawet rozebrać.

— Niech mu będzie na zdrowie — szepnęła Barberina, i wyciągnęła pięść ku przedmiotowi swój nienawiści. Zaprawiłam mu wino połową naszego proszku, to też śpi jak zarznięty; chciałabym żeby go zdusił dziki kot i żeby jego piekielne oko nie otworzyło się nigdy! Proszę tedy, panie kapitanie!

I weszła do pokoju, w którym dniem wprzód oficer widział margrabinę.

— Pani jest w przyległym pokoju; od dwóch godzin wciąż pisze i pisze, Bóg wie co, w grubym sexternie, który natychmiast zamyka jak ja wchodzę. Te drzwi prowadzą do ogrodu, zaprowadzę tam pana, potem namówię panią aby wyszła na przechadzkę. Stań pan w cieniu i nie ukazuj się póki nie kaszlę, bo ona jeszcze o niczem nie wie.

I wprowadziła go do ogródka. Był on tak wązki, tak ściśniony wysokimi murami, że Eugeniuszowi zdało się jakoby zostawał w głębi wyschłej studni, gdzie resztką wilgoci wydawała młłą roślinność. Boleść zdjęła go na myśl że młoda i piękna istność, oddalona od światła dziennego, więdnie w tej ponurzej ustroni. Na chwilę przedtem wyrzucał sobie że gwałci prawa gościnności mieszając się do tajemnic nieszcześliwego związku, ale teraz skrupuły jego zamilkły. Drżał z oburzenia i szukał w umyśle sposobów przebycia muru, gdyby nie było innego środka uwolnienia. Głos mamki wywiódł go z zadumy; wszedł w cień dwóch cyprysów rosnących pod murem: w tej chwili drzwi się otwarły.

Zamiast wejść do ogrodu, młoda kobieta stanęła jak posąg na kamiennych schodach: oczy jej z niewypowiedzianym wyrazem melancholii utkwily w gwiaździstym niebie, którego żadna nie zaciemniała chmurka; miała na sobie szarą suknię bez żadnej ozdoby, a mały krzyżyk złoty na czarnej wstążce wisiał u jej piersi. Na wezwanie Barberiny postąpiła kilka kroków po wąskiej ścieżce, ale chód jej zdawał się niepewnym, chwiejącym. Eugeniusz uczył się wzruszonym. Taż to jest dziewczyna świetna, lekka i żywa jak ptasze, którą obejmował rękami w balowej sali?

Zdawała się mało zważać na to co do niej mówiła Barberina. Zatrzymała się przy krzaku i skubała różę. Razem, na jakieś słowo mamki zadrżała i rzuciła koło siebie wzrokiem przerażonym. W tej chwili stara kaszłęła.

Oficer który zaledwie wstrzymywał się, wyszedł z ukrycia, ale stanął nagle, przerażony wyrazem śmiertelnej trwogi jaki przybrało oblicze kobiety. Gorący rumieniec oblał jej lice, chciała mówić: usta jej poruszały się nie mogąc wymówić słowa, i wyciągnęła ręce jakby chciała odpedzić straszne widziadło. Eugeniusz postąpił ku niej, i tonem głębokiego szacunku tłumaczył swo-



ją śmiałość. Uległ on najczystsшему uczuciu, a jedynym jego celem było ofiarowanie ję swych usług. Niech zechce powiedzieć jedno słowo, a on nie zawaha się poświęcić życie dla ję ocalenia.

— Nie jestem dla pani zupełnie obcym—dodał w końcu. Widziałem panią lat temu kilka; pani zapomniałaś pewno o mnie; ja długo zachowałem w pamięci oblicze twoje, i teraz...

— Odejdź pan—przerwała nie patrząc na niego—oddal się ztąd.... Gdzie jesteś, Barberino? Powiedz temu panu...

— Posłuchaj go, kochana pani—błagała stara. On żąda od ciebie tego tylko abyś mu pozwoliła udać się do matki i uwiadomić ją o tém co się tutaj dzieje. Jemu to bolesno, równie jak i mnie, widzieć że się tu pani zabijasz.

— Jeżeli taka moja wola, kto mi może zabronić?—odparła margrabina z godnością która zbiła z tropu Eugeniusza tak, że aż spuścił oczy. Odejdź pan odemnie, i nie próbuj nigdy mieszać się do mojego życia. Zamiary pańskie są prawe, nikt tedy wiedzieć nie będzie o tém coś pan się uczynić ośmielił; ale gdybyś pan śmiał jeszcze raz ważyć się na coś podobnego, byłabym zmuszoną powiedzieć wszystko temu który jest panem mego losu. Nie wracaj pan nigdy, nigdy... rozumiesz pan... Teraz wiesz, jaka jest moja wola.

Nagle zwróciła się ku domowi i znikła nim Eugeniusz zdołał ję odpowiedzieć.

— Matko miłosierdzia!—zawołała mamka składając ręce. Nie ma z nią rady. Panie, mamżeż żyć tak długo, póki nie zobaczę jak ona sobie głowę o mur rozbije, jeżeli śmierć nie pospieszy na ję żądanie? Ona skończy, pewna jestem, na pomieszanu zmysłów. „Jeżeli taka moja wola, kto mi może zabronić?” Czyż jest tu aby cień zdrowego rozsądku, iżby się tak wyrażać mając lat dwadzieścia dwa, będąc piękną, bogatą, świetną? Na miłość Boską, panie kapitanie, odpowiedz pan co, bo mi rozpacz rozedrże serce. Nie mogę zamknąć w sobie tyle cierpienia.

— Srodszemy się pomylili, Barberino—rzekł Eugeniusz z oczyma wlepionemi w ziemię, stojąc w ponurém zamyśleniu. Powinniśmy byli pomyśleć że ona od dwóch lat nie widziała ludzkiej twarzy i że obawa pogorszenia losu skłaniać ją musi do odrzucenia wszelkich usług mających na celu ję wyswobodzenie. Zapomnieliśmy o tém, niestety! Ileż to trzeba będzie czasu aby ją pogodzić z myślą światła i wolności?

Zamilkł, łzy głos jego stłumiły.

— Odprowadź mnie—rzekł dalej—nie rozpaczaj; spróbuję jeszcze jednego sposobu. Żem ja téż od tego nie zaczął! Jak myślisz, gdybym posłał list do niej, czyby ona go odrzuciła? W każdym razie mogłabyś go wiaść, i czyby chciała czy nie, przeczytać ję treść. Możeby się nareszcie dała przekonać.

— Dobrze, dobrze, panie kapitanie, zrób pan tak—mówiła mamka przechodząc z nim przez ciemną ciupkę. Patrz pan, ten

nędzny opryszek śpi wciąż; obawiam się aby się nie domyslił że mu coś zadano w winie, a wtedy miałabym co słuchać! Muszę też podwoić ostrożność. Nie będę już śmiała zbliżyć się do pana, ale jeżeli wsuniesz list pod kamień co leży przy studni, to tam nikt inny po niego nie przyjdzie tylko ja. Mów pan jęj o matce, to jęj doda odwagi, bo po Ginie ją ona kochała najwięcej na świecie, i gdyby mi nie była tak surowo zabroniła ..

To mówiąc weszła w dziedziniec. Zaledwie przeszła przez próg, śpiący porwał się z tapczana i czołgając się doszedł do okienka by spojrzeć na zewnątrz. Przy powrocie Barberiny, już leżał jak przedtęm, jak gdyby ani się poruszył.

W kwadrans potęm Taddeo pukał do drzwi swego pana, i z miną zwyczajną, pół-chytrą, pół-prostoduszną, wszedł do pokoju, w którym siedział margrabia z książką w ręku. Ale żeby na nią choć okiem rzucił, temu jednooki nie wierzył bynajmniej.

— Nie omyliły mnie podejrzenia. Otworzywszy bramę od wieży zawołałem na Martynę o wino. Było ono nasycone porządną dozą opium; rzuciłem się więc na łóżko jak kloc, stara Barberina przyszła, zabrała mi klucz, i nie wyszło *Zdrowaś Marya*, wróciła z oficerem prowadząc go do ogrodu.

Margrabia poruszył się, ale zagryzł usta i milczał.

— Musiałem leżęć cicho jeszcze kilka minut. Kiedy się wszystko troje zebrali razem, zdjąłem buty i wszedłem do mieszkania pani.

— Czy mogłeś ich słyszeć?

— Mogłem.

Tu opowiadał rzecz po swojemu, ale w gruncie mniej więcej prawdziwie.

— Razem pani wybiega jak strzała i przechodzi około drzwi przy których stałem, tak że jużem powiedział sobie: „Niezawodnie cię zobaczyła.” Ale nie. Wpadła do sypialnego pokoju, i trzask, trzask, zamknęła się. Ja wróciłem do siebie i znów rzuciłem się udawać śpiącego w najlepsze. Dowiaduję się wtedy że kapitan chce pisać do pani margrabiny i że ta faktorka Barberina ma pójść po list który będzie schowany pod kamień przy studni. Czy ta przekłęta czarownica nie zasługuje aby jęj kark skręcić?

Nie odpowiadając na to zapytanie, margrabia wstał, gwałtownie wzruszony. Przeszedł się kilka razy po pokoju, wymówił kilka urywanych wyrazów, aż przypominając sobie że nie jest sam:

— Czy niemasz mi już nic do powiedzenia?—rzekł, i spojrzał się badawczo na sługę.

— A czyż to nie dosyć—zapytał jednooki ze złym uśmiechem. Ale napotkawszy surowy wzrok pana, dodał tonem pełnym uszanowania:

— Czy pan margrabia każe mi wzięść ten list?

Po chwili milczenia margrabia odpowiedział: Idź spać Taddeo, i daj mi znać o wszystkiém co zajdzie. Listu nie chcę widzieć... powiesz mi tylko czy go odebrano. Dobranoc.



— Smacznego snu, panie margrabis.

Sługa opuścił pokój z niezadowoleniem: nie mógł pojąć postępowania margrabiego.

— Mniejsza o to, przekłeta trucieliśko — szepnął — co się odwlecze, to nie uciecze. Ha! ha! pan margrabia nie ciekawy jest listu, ale ja muszę dobyć jeża z nory, choćby miał mi rękę poszarpać.

Światło lampy długo błyszczało w oknie wieżycy. Eugeniusz siedząc przy stole, pisał ołówkiem na kartce wyciętej z pugilaresu. Wahał on się długo, nie dlatego iżby go przeraziła groźba margrabiny lub żeby się obawiał jej wyjawień; ale lękał się narazić młodej pani i stracić jej szacunek. Jednak, gdyby milczał, mogłaby ona kiedykolwiek dowiedzieć się o tym co on chciał dla niej przedsięwziąć, bo pod wzruszeniem chwili, zaledwie przypominał sobie jak się przed nią ze swego kroku tłumaczył. Może go dobrze nie zrozumiała, a niecznośną była mu ta myśl, że opuszczając zamek, zostawi w nim tę samą rozpacz przez brak wytrwałości ze swęj strony. Zaczął więc pisać z całem wylaniem prawego serca, z mężką prostotą żołnierza, nalegając na nią aby nie poświęcała na zawsze swojego życia. Mało on zna — mówił — pobudki które ją skłoniły do zamknięcia się w tej ponuręj samotności, ale on nie może patrzeć na jej powolne konanie, póki się nie przekonana że już niema środka przeciw zgryzocie która ją zabija. Zapewniał ją, że ofiarując jej swe usługi, nie powoduje się egoistycznym uczuciem; całem jego życzeniem jest wydarcie jej z grobu w którym zamknęła się żywa. Jeżeli nadzieja zamarała już w jej sercu, jeżeli nie chce niczego usłuchać, to jemu nic nie pozostaje, tylko działać według własnego natchnienia, bodajby z pogorszeniem i tak nieszczęśliwego już położenia. Prosił ją aby mu pozwoliła rozmówić się z jej matką; wszak ona ma także obowiązki względem swęj matki, nie jestże to rzeczą okrutną pozabawić jej dziecka? Skończywszy list, podpisał, złożył kartkę jak mógł najlepiej, a nie mając laku, zapalił świecę, spuścił kilka kropel wosku na list i odcisnął swą pieczętę.

Przed wschodem słońca zszedł do studni, podniósł ostrożnie kamień i list pod nim umieścić. Świeżość powietrza chłodziła war jego duszy, nacerpał wody i wypił kilka szklanek. Potem usiadł na poręczy, patrząc smutnie na sztachety żelazne zamykające ogród. Przebiegł w pamięci wszystko to co napisał, zważył każde słowo: nie żał mu było ani jednego; jednak niejednokrotnie przychodziła mu myśl wyjąć list i podrzucić. Dla zakończenia tej wewnętrznej walki, odszedł do mieszkania i usiłował w śnie znaleźć kilka chwil zapomnienia.

#### IV.

Nazajutrz, dzień wstał smutny i burzliwy; głuchy wiatr pędził na górę z jeziora mgły, których słońce przebić nie mogło. Pod jaworem w dziedzińcu, koło studni, mrok był prawie zupełny.

— Jużto wstałaś, stara sekutnico—rzekł do Barberiny Taddeo, schodzący z wieży z butami kapitana. Jednak wczoraj w nocy przechadzałaś się dość późno.

— Co ty wiesz?—mruknęła stara. Chrapałeś aż mury pękały.

— Dzięki Bogu—odparł jednooki z uśmiechem nienawiści—ja śpiam snem sprawiedliwego; a kto ma złe sumienie, temu i puch staje się cierniem.

— Znamy cię—odrzekła stara—ciebieby i rozpalony węgiel nie sparzył, boś się hartował w smołe piekielną. Dobre słowo nie kaleczy ust, ale wołałabym mór i burzę nazwać mym ojcem i matką, niż tobie powiedzieć choć jedno życzliwe słówko.

Żywo napełniła wiadro i wróciła do domu.

„Czyżby zobaczył list?—rzekła do siebie; jeszcze ci go nie schowała do kieszeni kiedy on wyszedł z wieży. Prawda i to, że ja nigdy tak rano nie chodzę po wodę. Mniejsza o to; jeżeli niebo przyjdzie na pomoc, to diabeł musi odejść ze spuszczoneym nosem. O! biedna dusza! ona wciąż miota się bez snu i spoczynku.”

Stara przyszła przede drzwi od pokoju pani i zastukała lekko: Pani margrabinio! Nic. Uduje przedemną że śpi; ale Barberina nie da się zwieść. Ona nie chce mnie widzieć, wiem. Co ona mi powie? Gniewa się na mnie żem wpuściła kapitana; nikt jednak na świecie nie jest do niej tak przywiązany jak stara Barberina. Ale jak jej oddać ten list? Możeby wsunąć pode drzwi? Tak, dobrze; teraz niech go weźmie albo nie, ja umywam ręce.

Szpara była dosyć szeroka; Barberina mogła przez nią pchnąć list tak daleko, że nie można było go nie zobaczyć. To uczyniwszy mamka stanęła z zadowoleniem przy oknie, którego zasłony przepuszczały nieco światła dziennego, i zaczęła nucić jedną ze strofek ballady: *Donna Lombarda*.

Drzwi od pokoju margrabinii otwarły się nagle.

— Barberino—rzekła młoda kobieta z iskrzącymi oburzeniem oczyma—przyrzekłam nie wymawiać ci wcale niedorzecznego postąpienia twego wczorajszej nocy; szczere poświęcenie, choć fałszywie nastrojone popełniło cię do tego kroku, i przebaczyłam ci. Ale żebyś trwała w tym uporze, mimo mego zakazu, tego darować ci nie mogę: jeżeli ci się raz jeszcze zdarzy nieposłuchać mojego rozkazu, rozstaniemy się z sobą. Ten zaś kapitan więcej budzi mą litość, niż gniew; nie chcę więc wiedzieć o jego liście i nie powiem o nim margrabiemu; nie wyszedłby żywym z zamku, gdyby się pan o tém dowiedział. Ale rzeczy tak dalej iść nie mogą. Pójdiesz do klasztoru i poprosisz brata Ambrożego; on musi o mojej woli uwiadomić młodego zuchwaleca i poradzić mu aby opuścił zamek. Im prędzej, tém lepiej. Zrozumiałaś mnie?

Stara z rozdziawionemi ustami wpatrywała się w panią.

— Pani, na miłosierdzie Boże! po co wołać brata Ambrożego? Nie mogłabym ja sama....



— Milcz!—zawołała margrabina tonem nakazującym. Potwarzam ci: jeżeli choć jedno słowo przemówisz z przybyłym, nie pokazuj mi się na oczy. Sprowadź czempredźej brata Ambrożego, mam z nim pomówić o wielu rzeczach.

Odeszła nie czekając odpowiedzi mamki i znów się zamknęła. Stara знаła ją dobrze, wiedziała przeto że nie jęj nie pozostaje, tylko wiaść nogi za pas, i w drogę; ale nigdy jęj to nie przyszło z taką goryczą. Tak się zmartwiła, że odchodząc zapomniiała tabakierki. Ponieważ nie mogła wyjść aż jęj otworzy Taddeo, musiała mu więc powiedzieć jakie otrzymała zlecenie. Po jęj zmięszaniu zmiarkował jednooki, że list nie musiał sprawić wrażenia oczekiwanego przez Barberinę; ale zachodził w głowę po co zakonnik ma przybyć do zamku. Nie zgadując, umyślił poprostu pójść z tą wiadomością do pana.

Margrabia stał z okiem niecierpliwém i niespokojném, jakby oddawna nań oczekiwał. Wysłuchał w milczeniu opowiadania sługi; stałe postanowienie malowało się na jego twarzy:

— Taddeo—rzekł kładąc do torebki listy i bilety bankowe—wyjeżdżam za godzinę i na ten raz będziesz mi towarzyszył. Idź, powiedz odemnie pani margrabinie że nieobecność moja będzie może długa; jeżeli ma jakie życzenie które mógłbym spełnić, jeżeli coś względem niej zawinął co mógłbym naprawić, proszę ją aby mi dziś oznajmiła. Co stoisz taki zadziwiony i wytrzeszczasz oczy?

— Jakto, panie—wyjąkał Taddeo, powątpiewając czy pan jest w tęg chwili przy zdrowym rozumie—panbyś chciał, panbyś mógł.... ależ to niepodobna!

— Postanowiłem. Zapakuj walizę, zaniesiesz ją z Martyną nad brzeg jeziora, gdzie znajdziemy statek. Dla siebie zabierz tylko to co ci najkonieczniejsze, a nadewszystko spiesz się.

Po odejściu Taddeja margrabia rzucił się na fotel, zgnębiony. Długo tak pozostawał, z oczyma wlepionemi we drzwi, podsluchując co się dzieje zewnątrz. Nic nie przerywało milczenia w pokoju, tylko jednostajny ruch zegarka Gina, który leżał na stoliku przy torebce. Nareszcie kroki wolne i bojaźliwe dały się usłyszeć w przedsionku; zadrżał, potem prawą ręką oparł się o poręcz fotela z udaną obojętnością, a lewą tłumił bicie serca, które zdawało się rozsadzać mu serce. Zastukano bojaźliwie.

— Proszę wejść—rzekł margrabia głosem zaledwie dosłyszonym. W tęg samęj chwili żona jego ukazała się na progu.

Od dwóch lat widział on ją tylko w cieniu kaplicy; teraz przy pełném świetle dzienném przeraziła go bladeść jęj twarzy. Podstąpiła drżąca; nagle żywy rumieniec oblał jęj lica: może spostrzegła zegarek koło torebki.

Mimowolnie cofnęła się krok, ale oparła się ręką o ścianę i zebrała odwagę.

— Chcesz odjechać, margrabio—rzekła głosem zmienionym, cisnąc wychudłemi palcami krzyżyk zawieszony na szyi. Nie moją rzeczą pytać cię gdzie jedziesz, ani dlaczego opuszczasz zamek.

Ale obawa mnie zdjęła. Może nieszczęście jakie spadło na moją matkę, ona powołała cię do Medyolanu. Miałam sen straszny; widziałam ją umierającą. Powiedz mi przez litość czy się mylę?

— Sądzę, że pani hrabina jest zdrowa—odpowiedział bez wzruszenia—żadnej przynajmniej przeciwniej temu wiadomości nie otrzymałem. Inne przyczyny skłaniają mnie do podróży. Chciałem się wprzód zapewnić czy powietrze górskie, może nazbyt ostre, nie szkodzi zdrowiu pani. Obawiam się też czy to smutne zamknięcie się nie wywiera na cię szkodliwego wpływu. Powiedz mi pani otwarcie. Urządź się tak abyś zimę przepędzić mogła w Wenecyi, gdzie pani zapewne lepiej będzie niż w tym zamku.

— Dziękuję—rzekła głosem drżącym. Nie zasłużyłam ani na tyle dobroci, ani na tyle względów. Nie chcę umierać gdzieś indziej, tylko w tém ustroniu. Jeżeli mi jednak wolno zanieść jaką prośbę, to błagam cię, margrabio, nie wyjeżdżaj dziś jeszcze, odłóż do jutra...

— A to dlaczego?

— Wolałabym ci nie powiedzieć. Gdybyś chciał zgodzić się na moją prośbę nie żądając wyjaśnień!... Ale ta ufność byłaby łaską zbyt cenną dla mnie.

Nie odpowiedział nic i oczy wlepił w żonę, która stała przed nim nieporuszona z oczyma spuszczonemi.

— Muszę więc powiedzieć — mówiła dalej. Zamierzyłam wprawdzie wprzód poradzić się brata Ambrożego, bo tu nie chodzi tylko o pana i o mnie, wtedy nie potrzebowałabym żadnej rady, osoba trzecia jest interesowaną, więc obawiam się... Ale odjeżdżasz, margrabio, tak nagle, że muszę się zdecydować i powiedzieć się twój szlachetności.

— Co chcesz powiedzieć Joanno?

Zamknęła drzwi za sobą i przysunęła się do margrabiego.

— Jest w zamku—odpowiedziała—obcy człowiek, któremu mimo méj wiedzy i woli powiedziano, że tu znajduje się kobieta wielce nieszczęśliwa. Udało mu się wejść nocą do ogródka. Nie chciałam go słuchać i oświadczyłam że mu nie przebaczę, gdyby chciał raz jeszcze mieszać się do mego życia. Uporna, szalona prawie litość nad dolą, którą on źle sądzi znając ją zbyt mało, natchnęła go zuchwałą myślą napisania do mnie... Oto jest jego list, przeczytaj. On cię przekona że może nie byłabym tu bezpieczną, gdybym pozostała sama. Chciałam prosić brata Ambrożego iżby wymógł na nim przysięgę, że nie wspomni żywej duszy o tém co tu widział. Ale postąp z tém jak uważasz. Błagam cię tylko na kolanach, nie rzucaj gniewu swego ani na niego ani na nikogo. Mieli oni dobre zamiary; nie wiedzą że ja nie pragnę niczego więcej tylko pozostać tu.

Podala mu list i nieśmiało spojrzała na niego. Panował on nad sobą tak bezwzględnie, że żaden muskuł twarzy nie wydał najmniejszego wzruszenia. Przeczytał list, potem tonem zimnym rzekł:



— Ten młody człowiek ma zupełną słuszość: on patrzy na rzeczy z zimną krwią i sądzi o nich lepiej; nie zasługuje on abyś go pani poczytywała za waryata. Mnie nieraz przychodziła myśl nakłonić cię do zmiany trybu życia; nie jest mi to rzeczą przyjemną obciążać sumienie swe morderstwem, skoro nie dopuściłem się go w chwili uniesienia; jednak na tém się skończy, jeżeli rzeczy pójdą takim trybem dalej.

— O, zapewne: ja umrę. Ale ty nie będziesz temu winien, a gdyby nawet i tak było, wdzięczność ci raczej odemnie należeć będzie, nie zaś skarga, bo ja w życiu nie mam żadnej nadziei.

— Jesteś młoda, Joanno; rozsuna się cienia które cię otoczyły. Wspomnienie tego co zaszło zagaśnie kiedyś, i dziwić się będziesz jak mogłaś tak długo pozostawać w teraźniejszej żalobie. Ja, co jestem daleko starszy, pozostawię może niedługo wolną tę rękę której nie powinienem być pożądać, boć nie było mi tajemem, że serce twoje odwracało się odemnie....

— Nie oskarżaj się darmo—przerwała. Ja ci nie powiedziałam że kochała wprzód nimeśmy się z sobą poznali.

— Ale ja wiedziałem, tylko dałem się oslepić namiętności; pochlebiałem sobie że jak będziesz moją, przy czułych moich staraniach i poświęceniu zapomnisz o mym rywalu. Nie pomyślałem że pierwsza skłonność w sercu takim jak twoje głębokie zapuszcza korzenie. Przyszło to, co najpospolitsza roztropność przewidywać mogła.

— Niel—odparła; a twarz jęj ożywiła się i błyskawica przeszła po jęj oczach. Jesteś niesprawiedliwym względem siebie samego przemawiając w ten sposób. Byłam młoda, to prawda, ale nie tyle iżbym nie była zdolna wartości twojéj ocenić, gdyby nie to oddanie się nierozsądnemu żalowi. Im bardziej ty byłeś dobrym i szlachetnym, tém ja byłam winniejszą że pozostała ci obcą i że pomiędzy nami stawiała przepaść śmiertelnego błędu, którego całe życie żalu zamazać nie jest w stanie. Czy te rzeczy zdarzają się na świecie, czy można je było przewidzieć, nie wiem: ale ty postąpiłeś w tém jak mało kto byłby postąpił: o tém jestem najmocniej przekonana. Miałeś prawo i mnie i jego posłać w noc wiekuiście; niktby cię nie nazwał mordercą. Ale okryłbyś wstydem imię moje i moję rodziny; szlachetna litość wstrzymała twoją rękę. Później, zamiast opuścić mnie jako zakałą płci moję, zamiast zostawić mnie samą na pastwę wyrzutom, zgodziłeś się oddychać jednem ze mną powietrzem, postawiłeś mnie w możności wejścia w siebie samą, poznania się i pocucia o ile niższą jestem od ciebie. Wrócić do świata, ja! Ależ ja czuję nieprzekamany wstręt do wszystkich uciech, do których w szaleństwie swém przywiązywałam serce. Cóż mi da życie dziś, kiedy już nie mogę żyć bez ciebie. Jednakże, kiedyśmy dotknęli już téj rany, ponieważ w dobroci swéj zezwoliłeś mnie posłuchać, a dziękuję ci za to z głębi duszy, nie odepchniesz próśby którą zanoszę do ciebie w téj błogosławionej chwili. Jak będę złożoną na łożu śmierci, co niezadługo

nastąpi, jeżeli cię zawezwę, przyjdź do mnie, zaklinam cię. Może nie będę zdolną już mówić, ale wzrokiem szukać cię nie przestanę; zobaczysz jak cię oczy me prosić będą abyś rękę położył na mojem czole i wyrzekł: „Przebaczam ci!”

Pozostawał jakiś czas w milczeniu, szarpany wewnętrzną walką.

— Nie — zawołał nareszcie — niepodobna!

— Co niepodobna? — zapytała przestraszona.

— Abym czekał aż śmierci twojej, by wyrzec to słowo!

Rzucił się ku niej, a potok łez tryskał z jego oczu.

— Moja żono! — moja biedna Joanno! — pójdz na moje serce!... przebac mi me okrucieństwo!... Boże miłosierny! żyć godzinę tak jak w tej chwili a potem umrzeć, to dosyć by Ci wdzięcznym być całą wieczność!

Chciał ją wziąć na ręce, ale ona, złamana gwałtownością wzruszenia, upadła zemdlona. Ukłękł przy niej, przycisnął do swjej piersi nieczulą głowę młodej kobiety, łzami i pocałunkami okrywał jęj czoło i usta.

— Zbudź się, moja ukochana — mówił — dopiero zaczynamy żyć! Drogo okupiliśmy szczęście, korzystajmy z tych słodkich chwil! Zbudź się, zbudź, moja Joanno!

Nareszcie otworzy się jęj powieki, ale mówić jeszcze nie mogła. Została nieruchoma w jego objęciach, patrząc weń wielkimi oczyma niewzruszenie, jakby obawiała się czy nie jest igraszką snu.

— Pozwól mi na twych ustach złożyć pocałunek narzeczonego — rzekł. Cierpiałas srodze, Joanno, ale miłość rozpędzi te chmury. Przeszłość już nie istnieje, i ja dziękuję Bogu że nową w ciebie wlał duszę. Wstań. Nie, poczekaj chwilę, niech cię uniosę na moich rękach.

Złożył ją znowu na krzesło, zamknął jęj oczy ustami, potem porwał coś spieszenie ze stolika i rzucił oknem w dolinę.

— Powietrze się oczyściło — rzekł — pójdz moja najdroższa; porozmawiamy z sobą jak dwoje narzeczonych co snują plany swjej przyszłości.

Podniósł ją czule, zaprowadził na krzesło przy oknie, usiadł i przyciągnął ją na kolana: ona szła słuchając głosu jego jak najrozkoszniejszej muzyki. On wypowiadał jęj miłość swą i szczęście, ona milczała, obawiając się stracić choć słówko z tych ust ukochanych. On zatrzymywał się chwilami by ująć jęj rękę, którą całował namiętnie.

## V.

Po lekkim deszczu czas się wyjaśnił. Eugeniusz błakał się długo pośród skał, gdzie pierwszy raz spotkał Barberinę. Ale daremnie świeciło słońce, burza w duszy jego nie ustała, a oczy jego których sen nie nawiedził nocą, smutnie błądziły po spalonych wzgórzach.



Widział on zrana mamkę jak przechodziła po moście zwodzonym idąc drogą wiodącą do klasztoru. Nie śpiewała i nie dała mu żadnego znaku. Co większa, kiedy odwróciwszy się przypadkiem, spostrzegła go w oknie, nasunęła na twarz mantyllę z poruszeniem przestachu. Co to miało znaczyć? Czy list jego odepchnięto z gniewem, czy też groziło jakie niebezpieczeństwo, a Barberina chciała wyciągnąć go w góry aby ulżyć sercu swojemu? Daremnie oczekiwał całą godzinę. Słońce przebijające się przez chmury, zmusiło go szukać schronienia w chacie przeciw promieniom. Pomyślał przytem, że stara będzie umiała go tam znaleźć jeżeli ma coś mu powiedzieć.

Chata smutniejszą mu się jeszcze wydała jak przedtem. Ani jedna koza nie zabłąkała się w tę stronę; pajak co rozwiesił sieć swą na belkach spoczywał bezczynnie, czekając aż słońce dopije kropel deszczu, które źle spojony dach przepuścił na wątłą tkanę. Eugeniusz usunął się w najciemniejszy kąt, uchem chwytając każdy szelest; ale ujęty głęboką ciszą południa usnął niebawem.

Gwałtowna burza zbudziła go nagle w kilka godzin później. Wstał z sercem rażniejszém, postanowiwszy wyjść czemprędzej z fałszywego położenia w jakim zostawał; stojąc na progu chaty i oczekując aż mu pogoda pozwoli wyruszyć, powziął postanowienie stanowcze. Wyrażne oświadczenie margrabiego że on nie sprzeda zamku, położyło koniec missyi jaką dał mu marszałek Radecki; gdyż mimo zajęć przeszłodniowych, jego wprawne oko poznało odrazu że wszelka fortyfikacya któraby nie objęła „Twierdzy,” byłaby zgoła bezużyteczną. Postanowił więc czekać do jutra odpowiedzi margrabiny; jeżeli młoda pani zachowa milczenie, to on nie ma prawa działać wbrew jej woli; powinien pozostawić losowi rozwiązanie tego smutnego dramatu.

Deszcz ustał; wyszedł więc z chaty krokiem pewnym, zatrzymując się jednak czasami dla zobaczenia czy stara nie ukaże się gdzie za krzakiem, tak że zeszło mu więcej godziny nim dostał się do zamku. Z wielkiem zdziwieniem zastał bramę otwartą a most zwodzony pełen był kobiet, które ciekawe spojrzenia zapuszczały we wnętrze; oficer z trudnością precisnął się i zobaczył w dziedzińcu powóz na którym leżały nagromadzone walizy, paki, różnego rodzaju tłumoczeki. Barberina z inną jeszcze służącą ponuręj powierzchowności chodziły tam i sam, znosząc coraz inne przedmioty, które układały starannie. Mamka spostrzegłszy Eugeniusza, przecedziła przez zęby kilka słów niezrozumiałych, pobiegła na jego spotkanie i pociągnęła go ku domowi, gdzie padła na tapeczan Taddeja, dusząc się z radości, wyrabiając rozmaite gesta, których zdziwiony towarzysz nic a nic nie rozumiał.

— Czy uwierzyłybyś pan własnym oczom, panie kapitanie? I tu pociągnęła potężny niuch tabaki dla rozświecenia sobie myśli. Matko miłosierdzia! któżby się tego spodziewał? Dziś rano jeszcze sądziłam że z panem nigdy już słowa rozmawiać nie będę, bo zagro-

żyła że mnie odpędzi jeżeli się poważę panu choć dzień dobry powiedzieć. A to wszystko według pańskiego listu. Wszechmocny Bóg który mnie stworzył, wie ile płakałam pnąc się pod górę dla sprowadzenia brata Ambrożego. Mniemałam że ona umiera, i chce się na śmierć wypowiadać. To też przez całą drogę jakże mnie coś gwałtownie bolało w lewym boku, w tém miejscu gdzie mnie zazwyczaj boli jak tylko mam jakie zmartwienie. Brat Ambroży chciał mnie pocieszać, ale jego słowa nie większy sprawiały na mnie skutek jak limonada na człowieka którym febra trzęsie. Nareszcie przybywamy. Pytam się Taddeja: „Gdzie pani?” On odpowiada mi z miną człowieka coby ogłaszał sąd ostateczny: „Ona jest u pana!” Ja mu na to: „Drwisz sobie ze mnie, kłamco, to niepodobna.” On znówu: „Podobna czy niepodobna, dosyć że tak jest, wy kochanico Lucypera (to widzisz pan, są zwykłe jego grzeczności); wyjeżdżamy, i myślę że już pono nigdy nie będę patrzył na twój ryj obrzydliwy.” Nie odpowiadając mu na jego zaczepki, pobiegłam co tchu z bratem Ambrożym. I co pan sądzisz, widzimy za przybyciem w pokoju pana? Kogo on pieści z całą czułością ojca i kochanka? Ją, doprawdy, ją samą. Na szelest naszych kroków skoczyła na nogi, zarumieniona jak dziewczynka schwytana na romansowej rozmowie. Jak to się stało, nie umiem panu powiedzieć; ale choćbym żyła i sto lat, nie dożyję dnia podobnego.

Chciałam spytać Martynę, ale ona na dobre nowiny jest głucha i niema. Chciałam dowiedzieć się czegoś od Taddeja; ale to łotr chytry i milczący. Ale domyśliłam się że i sam musiał nic nie słyszeć, i to go wprawiło w taki zły humor. Wtedy pani zeszła na dziedzińiec, podstąpiła ku niemu, szepnęła kilka słów pociechu i podała mu rękę którą on ucałował z szacunkiem. To też coś się w nim wywróciło do góry nogami. Świstał, śpiewał, cały się zamienił w miód i cukier. Do mnie, przeciwnie, i do Martyny pani nie powiedziała ani słowa; była jednak bardzo dobrą i rozdała nam suknie które nosiła od pobytu w tym zamku. Potém wyjęła z szafy suknię białą która wisiała tam od dwóch lat. A gdy się w nią ubrała: — Jak mi Bóg miły — zawołałam — możnaby panię wziąć za narzeczoną! — Bo też tak jest, Barberino — odpowiedziała — pójdz ze mną.” Poszłam do kaplicy, gdzie był już margrabia i Taddeo; brat Ambroży kazał panu i pani uklęknąć przed ołtarzem i dał im błogosławieństwo, jak gdyby teraz dopiero byli połączeni. Płakałam z uradowania, a nawet Taddeo, ten grzesznik zatwardziały, okropnie wykręcał ustami i okiem.

— Ach! kochany panie, jakżeż inaczej stanęły rzeczy, niż spodziewaliśmy się wczoraj o téj godzinie! Zaledwie brat Ambroży skończył, pan powstał, ucałował panię i wyszli oboje. Nie spojrział ku mnie, ale widziałam że się na mnie nie gniewał. Pani opierała się na jego ramieniu i szli razem, to idąc, to zatrzymując się. Taddeo kazał mi tedy wszystko popakować, bo jutro zrana wyjeżdżamy z państwem. — Masz tu list — dodał — który oddasz ka-



piłanowi. Potém pobiegł do pana który stał na moście z bratem Ambrozym. Otóż wszystko co wiem, może w tym liście jest więcej.

Papier który Eugeniusz otworzył ręką gorączkową, zawierał tylko te wyrazy spiesźnie nakreślone ołówkiem ręką margrabiego: „Jesteś pan człowiekiem uczciwym, nie zapominaj nadal obowiązków gościnności. Żegnam pana.”

Cienie wieczoru już ogarniały dolinę, kiedy w kilka godzin po rozmowie z Barberiną, Eugeniusz przechodził po zwodzonym moście z chłopcem wiozącym jego walizkę. Pomimo nalegań Barberiny nie mógł się zdecydować na przepędzenie nocy w murach zamkowych, i z wolna szedł po ścieżce, zatopiony w marzeniach. Wtém pomiędzy białawemi skałami strumienia spostrzegł coś błyszczącego i oko na tém zatrzymał. Kazał góralowi zaczekać i ostrożnie wciskając się między krzewy, zmierzał ku przedmiotowi swęj ciekawości: był to zegarek, ten sam, nie wątpił ani chwili, który oznaczył tyle smutnych godzin od owęj nieszczęsnej północy, w której Taddeo przyiósł go panu. Teraz zamilkł on na zawsze, bo uderzenie zerwało w nim sprężyny.

Młody oficer machinalnie włożył go w kieszeń: on będzie mu przypominał, pomyślał sobie ze smutkiem, ten ustęp z jego podróży; lecz w chwili gdy odbił od brzegu jeziora statek mający go zaprowadzić do Riva, wydobyl spiesźnie zegarek i rzucił go w głębię wody.

